

<http://rcin.org.pl>







# PIOTR KREMPA

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO,

przez

IGNACEGO WEROWSKIEGO,

Artystę Teatru Warszawskiego.

(z portretem i życiorysem autora.)

WYDAWCA

HENRYK NATANSON.

612

WARSZAWA,

HENRYK NATANSON.

1853.

<http://rcin.org.pl>



**PIOTR KREMPA.**

PIOTR KILWA



# PIOTR KREMPA

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO,

PRZEZ

IGNACEGO WEROWSKIEGO,

*Artystę Teatrów Warszawskich.*

(z portretem i życiorysem autora.)

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-150 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA,

HENRYK NATANSON.

1853.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 24 Września (6 Października) 1851 r.

*Starszy Cenzor,*

**L. T. Tripplin.**

---

w Drukarni Gazety Codziennej.





IGNACY WEROWSKI

<http://rcin.org.pl>

ŻYCIORYS  
IGNACEGO WEROWSKIEGO,  
ARTYSTY DRAMMATYCZNEGO.

„Życie każdego człowieka  
jest dla innych nauką.“

Życie artysty, a zwłaszcza artysty scenicznego, jest życiem ciągłych trudów, walk z losem i przygód rozlicznych. Nie tylko u nas, ale w całej nawet Europie, aktorowie, czasem i utalentowani, skazani byli na ciągłą wędrówkę, ledwie że nie powiemy, na tułactwo, bo na ciągłą *niepewność jutra*. Ztąd i życie artystów dramatycznych, względnie stosunków społecznych, oznaczaném częstokroć być musiało pewnym rodzajem ekscentryzmu. Nie wyłączamy ztąd nawet i jeniuszów dramatycznych. Bo

1.

tęż w istocie, każdy inny artysta: malarz, snycerz, rzeźbiarz, kompozytor muzyczny, lub poeta, mają pewne sposoby przechowania swych utworów dla potomności; jednych tylko artystów mimicznych chwała ustaje z każdą godziną, z każdym jutrem, ze wszelkim upadkiem sił materialnych. Gdybyż-to jeszcze chodziło tylko o sławę przechowania swego talentu dla przyszłych czasów!—ale nawet i nauka dla widzów z oddania charakterów, niknie często na zawsze ze spuszczeniem zasłony teatralnej.

Z tych-to przyczyn artysta, zmuszony żyć poniekąd samym dniem dzisiejszym, żył bardzo często odmiennym trybem od innych ludzi. Szczęście jego bywało także efemerydalne, jak chwilowemi tylko były jego sława i nauka, przezeń braciom-widzom udzielana. Taki stan do rozpacz przywieść może nadzwyczajne nawet usposobienia. A cóż dopiero wyrzec o ludziach zwyczajnych, pospolitych,—o ludziach nadewszystko obarczonych rodziną, dla których niepewność

jutra, niepewność spólczenia słuchaczy, musiały bywać ciosem zabójczym! Dodajmy jeszcze do tego pewne uprzedzenia co do samego powołania aktorów, uprzedzenia, jakie, na chwałę dziewiętnastego wieku, coraz bardziej ustawać już poczynają.

U nas już, dzięki niebu! i błędne pojęcia o stanie artystów dramatycznych, i niepewność środków utrzymania życia, usuniętemi zostały. Zgasły przed dziesięcią laty Jenerał Rautenstrauch, wyjednał u Rządu dobrodziejstwo emerytury dla służących scenie warszawskiej osób. Ale zmarły artysta, o którym słów kilka powiedzieć zamierzaliśmy, i tej nawet nie doczekał się pociechy w życiu! Sześćdziesięcioletni niemal starzec, za nagrodę swego poświęcenia się dla sceny krajowej, nie mógł dożyć nawet chwili wypoczynku po trudach tyloletnich! Lecz idźmy kolejno za biegiem zasłużonego życia Ignacego Werowskiego.

Urodzony w Wilnie 2. sierpnia 1783., otrzymał na chrzcie trzy imiona: Ignacego, Józefa i

Andrzeja. Wychowanie i nauki pobierał w szkole Księży Pijarów wileńskich. Od samego prawie dzieciństwa uczuwał upodobanie i wrodzone usposobienie do zawodu dramatycznego.

W dziewiętnastej życia wiosnie już się udał do miasta prowincjonalnego na Litwie, Mińska, i tam przez lat jedenaście (od 1802. do 1813. roku) poświęcał się scenicznemu powołaniu. Po raz pierwszy wystąpił na deski teatralne w roli Ryszarda, syna strażnika Robla, w sztuce pod tytułem: *Henryk VI. na łowach*. Teatrem mińskim zarządzał wtedy najprzód Maciej Każyński, znany później w Wilnie Dyrektor sceny polskiej, a po nim Andrzej Rutkowski. Za czasów przedsiębiorstwa Każyńskiego, teatr w Mińsku, jak zwykle wszystkie nasze prowincjonalne teatra, nie mógł się utrzymać z dochodów, jakie przynosiło samo tylko miasto. Ztąd czyniono wycieczki tu i owdzie do miast białoruskich, jak do Połocka, Witebska, Mohilewa nad Dnieprem i tym podobnych. Podróżował ze sceną ruchomą i nasz Werowski, grywając wszędzie role



komiczne, tak w komedjach, jak również i w operetkach.

Każyński ze swém towarzystwem artystów dramatycznych oparł się był w r. 1797. aż o Moskwę, gdzie wiele pod względem finansowym odniósł korzyści. Pomny tego dobrego przyjęcia, jakiego doznał w Rossyi, postanowił w roku 1806. z teatrem Mińskim udać się do stolicy państwa. Przybywszy do Petersburga, otrzymał pozwolenie dawania widowisk scenicznych w teatrze Wielkim. Werowski, przez cały czas pobytu w stolicy państwa Rosyjskiego, doznawał jaknajlepszego przyjęcia od tamtejszej powszechności. Szczególniej podobał się w operetce Wojciecha Bogusławskiego pod tytułem: *Krakowiaczy i Górale*, w roli górala Bryndusa. Cały teatr polski zasłużył wtedy na wielkie publiczności tamtejszej względy. Przez dwa lata (od 1. lipca 1813. do tegoż dnia 1815. roku) Ignacy Werowski był artystą teatru Wileńskiego, do którego przenosząc się na sternika sceny zasłużony Maciej Każyński, ścigał do

siebie wszystkich bardziej utalentowanych artystów dramatycznych. Słynął podówczas w stolicy dawnej Litwy uniwersytet: wiele bardzo zamożnych rodzin, dla wychowywania dzieci swoich, zamieszkało w Wilnie. Liczną publiczność ściągają do miasta i inne wypadki ówczesne. Ztąd teatr, przy dobrym bycie materyalnym, zasobny był i w talenta wyższe. Szczególniej na usposobienie artystów wpływały przeważne zdania światlejszych professorów i młodzieży akademickiej, zawsze gotowej wspierać scenę krajową wszelkimi siłami. To wszystko korzystnie bardzo wpłynęło na ukształcenie artystyczne Werowskiego. Licznie uczęszczająca do teatru powszechność, zawsze obsypywała oklaskami komika przez się ulubionego.

Ale Werowski, postępując ciągle w latach zasług i doświadczeniu, niepospolity zarazem czynił postęp w doskonaleniu się scenicznem. Prócz komedyj, które dotąd były najwyłączniejszém jego popisu polem, zaczął występować z równémże powodzeniem w trajedyach i dram-

mach. Wspaniała powierzchowność Ignacego, głos czysty, dźwięczny i wyrazisty, siła w oddaniu charakterów i dokładne zrozumienie, oraz przejęcie się wybraną rolą, stawily go w rzędzie pierwszych tamtejszych artystów dramatycznych.

Dowiedziawszy się o tym ulubieńcu powszechności wileńskiej Dyrektor teatru Warszawskiego, Ludwik Osiński, zapragnął go mieć na scenie tutejszej. Jakoż sprowadzony przezeń Werowski, wystąpił po raz pierwszy, w byłym teatrze tak zwanym Narodowym, w roli *Otella*, w trajedyi pod tymże nadpisem, i od jednorazowego ukazania się na deskach teatralnych, zyskał ogólne względy powszechności warszawskiej.

Następnie występował Werowski w trajedyach, pod tytułami: *Alzyra*, *Woltera*; *Horacyusze*, *Kornela*; *Bolesław śmiały*, *Franciszka Wężyka*; *Barbara Radziwiłłówna*, *Aloizego Fełińskiego*; *Mahomet Prorok*, *Ludgarda*, *Kropińskiego*, i tym podobnych; a mianowicie w ro-

lach: Zamory, Kuracyusza, Bolesława Śmiałego, Kmity, Atufora, Sambora, i t. p. Znakomity rysownik Jakób Sokołowski, ze szkicu J. J. Piwarskiego, wyrzył na miedzi wspaniałą i wzniosłą postawę Ignacego Werowskiego, w scenie pierwszej aktu pierwszego *Ludgardy*, w chwili, kiedy wymawia ten wiersz Sambora:

„A rozszerzając państwa sławę i granicę,  
„Tron wsparłem, ocaliłem naród i stolicę!“

Grywał też nieodżałowany Werowski i w komedjach, naprzykład w *Wszystkowiedzu*, w *Dwóch Sieciechach*, w *Damach i huzarach* Fredry, w *Pustotach hiszpańskich*, w *Angliku*, i t. p., w rolach mianowicie Podstolego, Starszego Sieciecha, Rotmistrza i tak dalej.

I dawniejsze towarzystwo artystów dramatycznych warszawskich, podobnie jak kompania wileńskich aktorów, niekiedy zwidzała głównejsze miasta wojewódzkie. W tych wycieczkach po Królestwie, Werowski razem z towarzyszami swymi zwidzał Płock, Kalisz, Poznań i tym podobne większe miasta, gdzie również dobrze,

a nawet zaszczytnie, był przyjmowany. W roku 1821. zamyślił odwiedzić rodzinne strony swoje. Przybywszy do Wilna, z zapalem od współziomków został przywitany, i przez rok cały musiał zostawać w teatrze tamtejszym. Wróciwszy w następnym 1822. roku do Warszawy, już jęj aż do skonu, który nastąpił 8. sierpnia 1841., nie opuścił.

Z przedostatnich ról, które zapamiętać jeszcze możemy, odznaczył się szczególnie w trajedyi Szyllera *Intryga i Miłość*, przekładu Józefa Korzeniowskiego (jako Ferdynand), w *Matce rodu Dobratyńskich* (jako Jeromin), — w *Andromedzie* (jako Orest), — w *Zairze* Woltera, — w sławnym drammacie p. tyt.: *Życie Szulera*, — w *Edypie*, w *Parawiedesie*, melodramie przekładu J. S. Jasińskiego, w którego dziełach (p. t. *Prace dramatyczne*, w tomie V.) wystawiony jest na rycinie w scenie szóstej aktu trzeciego, wymawiający dobitnie owe słowa Parawiedesa: »*Szlachetny Gustaw, z łańcuchem na szyi! cha! cha! cha!*» Ostatni raz widzieliśmy go na

scenie naszej 20. kwietnia 1841. roku w drammie *Korsykańka*, w szlachetnej roli Gregoria.

Zdrowie Ignacego Werowskiego, styране na usługach publiczności, od roku 1833. już coraz bardziej cierpieć poczynalo. Z tego powodu znamenity artysta coraz rzadziej ukazywał się na deskach sceny polskiej: ztąd młode pokolenie nasze prawie go nie zna. Gdy skończył chlubny swój zawód Werowski, wtedy Ludwik Dmuszewski, Nestor tutejszych artystów dramatycznych i kolega od lat dawnych zmarłego, nad grobem jego w Powązkach obszernie opowiedział oddającym ostatnią posługę, towarzyskie i artystyczne zasługi nieodżałowanej pamięci przyjaciela swego.

Jeszcze roku 1808. ożenił się był Ignacy Werowski z panną Paoli, siostrą artysty scenicznego w Mińsku, gdzie wtedy przebywał. Z tego małżeństwa doczekał się trzech córek i jednego syna.

Jako prawdziwy zwolennik nauk, mimo tak szczupłych dochodów swoich, zebrał bardzo pię-

kną biblioteczkę, przeszło dwa tysiące tomów wynoszącą, która po jego śmierci nabytą została do bogatego księgozbioru Ordynatów Zamojskich. Liczne bardzo posiadał rękopisma, szczególnie sztuk teatralnych, których kilku sam był tłumaczem. Widzieliśmy także jego pracą podłożone wiersze polskie pod muzykę jednej granej w Warszawie opery.

Wolne od zajęcia artysty chwile, Werowski zwykł był poświęcać zajęciom się umysłowym. Oprócz dowodu, wyżej przytoczonego o doborze ksiąg przezeń zgromadzonych, mamy pamiątkę pracy jego w powieści z czasów Bolesława Śmiałego, którą tu czytelnikom naszym dajemy.

---

Das Schicksal der Seele nach dem Tode  
ist ein Gegenstand der Philosophie  
und der Theologie. In der  
Philosophie wird die Seele  
als ein immaterielles Wesen  
betrachtet, das von dem Körper  
getrennt existieren kann.  
In der Theologie wird die Seele  
als ein Wesen betrachtet,  
das von Gott geschaffen ist  
und nach dem Tode in den  
Himmel oder die Hölle überführt  
wird.

Die Seele ist ein immaterielles  
Wesen, das von dem Körper  
getrennt existieren kann.  
Sie ist unsterblich und wird  
nach dem Tode in den Himmel  
oder die Hölle überführt.  
Die Seele ist ein Wesen,  
das von Gott geschaffen ist  
und nach dem Tode in den  
Himmel oder die Hölle überführt  
wird.

Die Seele ist ein immaterielles  
Wesen, das von dem Körper  
getrennt existieren kann.  
Sie ist unsterblich und wird  
nach dem Tode in den Himmel  
oder die Hölle überführt.  
Die Seele ist ein Wesen,  
das von Gott geschaffen ist  
und nach dem Tode in den  
Himmel oder die Hölle überführt  
wird.



Dwie mile od sławnego Sandomierza  
leży wieś Sobudka. Ośm wieków minęło,  
jak mieszkańcy poblizkich okolic tu odda-  
wali cześć i ofiary Bogom ojcystym,  
a nie znając innych pobudek prócz skłon-  
ności serca swojego, ni modłów, prócz  
wesołych okrzyków, które rodziła wdzię-  
czność rozczulona, wielbili tę rękę, która  
tak hojnie urodzajne wzgórza pokrywała  
zbożem, która nadawała drzewom obfi-  
tość i wzniostłemi górami zabezpieczyła  
uprawne niwy od nagłych wylewów Wi-

sły. Bez licznego orszaku kapłanów, bez  
 złota i okazałości, ujmująca prostota to-  
 warzyszyła świętym obrzędom. W chwi-  
 lach zabawy, podczas rozrywek świątecz-  
 nych, matki dzieciom w plennych snopach  
 okazywały dobroczynność Marzanny (\*),  
 a ojcowie w każdym zdarzeniu, w każ-  
 dym przedmiocie, w każdym z ogromnych  
 dębów i buków, co szczyty gór okrywały,  
 w świetle błyskawicy, w huku uderza-  
 jącego piorunu, przestraszonym synom  
 przedstawiali potęgę Wszechmocnego *Jes-  
 sy* (\*\*). Przy takich to uroczystościach,  
 które niewidomej Istocie prawdziwa nie-  
 winność poświęcała, widzieć można było,  
 czem jest nieskażone serce ludzkie! czei-  
 ono Boga, nie badając o Jego własności:  
 widzi skutki, wielbi przyczynę. Bóg jest  
 wszystkim, Boga we wszystkim ogląda!

(\*) Marzanna u Sławian Polskich była Boginią urodza-  
 jów, tak jak Ceres u Rzymian.

(\*\*) Jessa był najwyższym z Bogów, jak Jowisz u sta-  
 rożytnych.

Wiek już jeden mijał, jak Mieczysław wraz z przyjęciem wiary postrącał z ołtarzów Sławiąskie Bogi; większa część dworaków, których widoki i nadzieje do tronu przywiązywały, poszła za przykładem Króla, a w stu lat przeciągu cały prawie naród wyrzekł się zwolna wiary ojców swoich. Lecz wiele jeszcze familij, albo zrażonych częstokroć obcego duchowieństwa postępowaniem, albo nieobjaśnionych o prawidłach przyjętej religii, albo nareszcie przywiązanych do tego, co niejako z mlekiem wyssały, to jest do prostych przodków swoich obyczajów; pod zasłoną obszernych lasów, któremi obficie naówczas natura Małopolskę okryła, w słodkiem zaciszu, na łonie swobodnej ciemnoty, oddawały cześć znieważonym ojezystym Bogom. Jednym z najcnotliwszych ojców i patryarchów niejako tych rodzin pogańskich był Zelisław herbu Topor, starzec siedmdziesięcioletni, który

okryty bliznami w wojnach za Mieczysława II, był z Kazmierzem I na wyprawie przeciw buntownikowi Masławowi, a największą okrył się chwałą w bitwie z Prusakami, pierwszy wpływ przebywszy rzekę Sarę w Pomeranii. Naturalna roztropność była nieodstępna od młodości towarzyszką jego życia; czcil Stwórcę pod nazwiskami, pod któremi Go przodkowie jego czcili; a pobożność opierając na cności, w każdym zdarzeniu trzymał się ostatnich słów ukochanego swego Rodzica.—

»Synu! — mówił mu konający w młodych jego latach ojciec; — synu! zostawiam cię w zbyt młodym wieku, potrzebujesz rady mojej, widzę, że już raz ostatni odbierasz ją odemnie. Zbliża się już godzina, która nas rozłączy; lecz czuję, że patrzeć będę na czyny twoje z miejsca spokojności wiecznej... Wierz tak, jak ja wierzyłem, widzisz, że spokojnie umieram, jest to tylko szczęście dusz, które do

używania nadgrody Bóg powołuje... Niech cię nie uwodzą zwodnicze nowej wiary ponęty; może ona być dobra, lecz nie lepsza od tej, którą tyle wieków przodkowie twoi szczęśliwie wyznawali; Bóg nie byłby sprawiedliwym, nie byłby Bogiem, gdyby tyle tysięcy zeszłych pokoleń karał za to, że Go pod takim wielbiły imieniem, jakie od poprzedniczych usłyszały; nie ukarze i ciebie, gdy ten ostatni zabytek przeszłości, zabytek ojca twojego, sobie i dzieciom swoim zachowasz!... Miłuj kraj twój, w którym życie odebrałeś, miłuj bliźniego i cnotę, i pamiętaj, że pełnieniem tych świętych zasad najwięcej uczεις cienie dawcy twego życia!...»

Osierocony Zelisław spędził młode lata w obozach, i blisko do roku pięćdziesiątego swojego wieku odznaczając się świetnymi czynami w bojach, chciał spocząć po trudach wojennych, i tak pięknie pędzonego dokonać życia spokojnie. Szla-

chetnego rodu dziewczica, również w pogańskich wychowana obyczajach, zajęła jego serce i wkrótce uszczęśliwiła go świętym węzłem małżeńskim; syn, piękny, stałego przywiązania owoc, nową rozkoszą uprzyjemnił jego życie. Lecz za ledwie prawdziwego szczęścia męża i ojca kosztować zaczął, potrzeba obrony kraju ściągnęła go pod rycerskie Bolesława Śmiałego chorągwie. Zostawił żonę w stanie błogosławionym... o jakże czułe było pożegnanie!... Chwała nowym okryła go laurem, gdy przez zburzone wody Sary pierwszy na nieprzyjaciół uderzył. Prusacy pobici, zwycięzcy powracają do kraju... Jakże smutna Zelisława doła!... nad ciałem ukochanej małżonki głuchą zastaje mogiłę i dar ostatni hymenu, córkę, przyczynę śmierci matki! Oblał łzami grobowiec i z tą stałością duszy, z którą na nieprzyjaciół uderzał, zniósł ten cios okropny, który mu szczęście życia ode-

brał. Pamiątka matki, dzieci ukochane, celem były odtąd jego starań; szczupłe włości i domek odludny, jedyne dziedzictwa, były obrębem jego życia; a w drobne swoje potomstwo wpajając cnoty pogańskie, cieszył się, że przynajmniej ducha ojca i małżonki jego, z którymi wkrótce połączyć się spodziewał, widzi zapewne z radością, jak święte obowiązki względem Boga, kraju i miłości rodzicielskiej ściśle dopełniał.

Tymczasem cnotliwa dziatwa do dojrzałego dochodziła wieku. Kazimierz liczył dopiero lat 22, a wszystkie przymioty duszy i serca najstaranniej rozwinięte wystawiały w nim prostego filozofa i poczciwego człowieka. Bronisława rok 18 poczyniała; piękna i czysta jak to źródło, co z gór Sandomierskich wytryska, zaszczytem była płci niewieściej, ozdobą dziewic i największą pociechą ojca. Ten w chwilach wolnych od pracy uszczęśli-

wiającą poit się rozkoszą, opowiadając czułym dzieciom przygody swoje wojenne, naoczniemi przykłady wlewał w nie czyste prawa moralności i cnoty, które we wszystkich jego przebijaly się czynach, opowiadał dzieje ojezyste o przyjściu Lecha, o waleczności Wizimira, o nieugiętej stałości Wandy, o cnotach Piasta. Tak przy domowych zatrudnieniach upływały szczęśliwe lata młodzieńcze; a każdego miesiąca, kiedy księżyc w całej świetności na czystym jaśniał horyzoncie, Kazimierz i Bronisława na grobowcu znikłej w kwiecie młodości matki, który skromna okrywała murawa, do łez rozczulonego ojca łączyli lzy miłości dziecinnej dla przedmiotu, którego nie znali.

Nadchodziły dnie, w których słońce najwcześniej złoćilo szczyty okrywających góry odwiecznych dębów. Był to czas, w którym oddawano cześć Bogom przez ogień, ten to żywioł utrzymujący



całą naturę. Mieszkańcy okolic, którzy w dzikich pustyniach do przyjęcia wiary chrześcijańskiej przymuszeni jeszcze nie byli, zbierali się na to miejsce, przed wiekami od świętych obrzędów Sobudką nazywane. Chłopcy, dziewczęta, wszystko to w godowe przybrane szaty, szło tem wielbić Wszechmocne Bóstwo, w czem sami rozrywkę znajdowali. Rozłożone na najwyższem wzgórzu ognie z suchych dębowych i topolowych ułamków, nadawały przy wieczornej pomroce tkliwym tym igrzyskom jakąś przerażającą powagę; zdawało się, że sam Twórca natury zstępował z swą świetnością do tych serc nieskażonych, czystych, tak jak ten ogień, z którego niewymuszone wznosiły się ofiary! Bronisława, w krótkiej białego koloru sukience, którą własnemi utkała rękami, z wieńcem róż na głowie, co były czystym jej jagód rumianych obrazem, z bukietem przy piersiach, jaśniała

wśród rówiennic, jak jaśnieje światło pochodni w pomroce wieczornej. Nie potrzeba tam było ozdoby strojów, gdzie natura wysiliła się z doborem wdzięków.

Już starcy obsiedli pod gołym niebem stoły zastawione owocami i tym słodkim napojem, co Piasta wyniósł na godność królewską. Młodzież niecierpliwa oczekiwała tylko znaku, aby skoczne rozpocząć igrzyska.

Huk kotłów i wdzięczne wiejskich piszczałek odgłosy zapowiedziały rozpoczęcie zabaw. Młodzieńcy i dziewczęta obszerne około płonących stosów uformowali koła, przy tańcach, którym odpowiadały wdzięczne wiejskich piszczałek tony. Śpiewy narodowe na cześć Lady i jej synów przerywały tylko niekiedy okrzyki i śmiechy młodzieży, a starcy i zamężne kobiety patrząc na radość synów i córek, powszechnej wesołości byli uczestnikami.

Był zwyczaj, iż najpiękniejsza z dziewięć wkładała na głowę wieniec z liści dębowych temu, kto najzręczniejsz przeskończył wielki stos poświęcony najwyższemu Jessie, Ojcu świata i Władzey piorunów. Bronisława wybrana była do dopełnienia tej skromnej nagrody. O! iluż tam z młodzieży poilo się zawezesnie tą słodką nadzieją, iż z pięknych jej rąk otrzymają ten dar szacowniejszy dwakroć, że go na skronie rozkoszna wkładać miała Bronisława. Tłoczą się tłumy w okolo; ciekawość, kto otrzyma pożądaną igrzysk nagrodę, zgromadza wszystkich w jeden obszerny okrag. Pierwszy Bogdan z Samborza, szlachetnego rodu młodzieniec, wpada w kolo, które dobór dzieweząt trzymających się za ręce utworzył; przy odgłosie muzyki obiega kilkakroć stos gorejący; wszystkich oczy zwrócone na jego postać ozdobną, na ruch lekki i wesole podskoki. Ogląda się na wszystkie

strony, trzykroć jeszcze równo z wiatrem obiega rozłożone ognisko i pędem błyskawicy wzbija się w górę; miga nad unoszącymi się pod nim płomieniami i spada... w żar gorejący; krok jeden dalej, a Bronisława oddałaby mu trzymane w ręce dębowe gałązki... Porywa się spieszenie, ostatnią przeskakuje głównię, bez szkody wprowadzie, lecz razem bez nadziei otrzymania tego, czego tak cheiwie pożądał. Wszyscy oddali oklaski jego zręczności, lubo jej pomyślność nie towarzyszyła, a nikomu nieznanomy młodzieńcze znika w tłumie przed ścigającym go widzów wzrokiem.

Kilku jeszcze z młodzieży chciało próbować szczęścia w tym zawodzie, lecz czterech z nich zaledwie połowę rozłożystego przeskoczywszy stosu, z niebezpieczeństwem i ze wstydem powracali z płomieni; innego ledwie żywcem wyrwano z pośrodku ogniska, a wielu zastraszeni

poprzedników przykładem, bez próbowania nawet sił swoich powracali ze szranów. Już zamyślano zalać połowę stosu i najmniejszym zręczności młodzieży otworzyć pole, gdy nagle Kaźmierz przedziera się do ogniska, wita wszystkich wdzięcznym uśmiechem, kilka kroków rozpędu, a już go nad płomieńmi i na drugiej stronie stosu oglądają. Powszechny odgłos i wesole okrzyki wprzód wieńczą młodego Kaźmierza, nim siostra na skronie brata tryumfujący wieniec kładzie. Zbliża się nakoniec do niej, chce przyjąć zasłużoną nagrodę, ale inny przedmiot zajmuje jego duszę, przedmiot, który od początku igrzysk był celem jego uwagi. Stała w bliskości Bronisławy dziewczica, jej tylko może w piękności ustępująca, lecz równie miła, równie przyjemna, równie jak ona nosząca w błękitnych oczach jakiś wyraz dobroci anielskiej. Pierwszy raz widziana w tych okolicach siostra pię-

knego Bogdana, wszystkich oczy zwróciła na siebie; pierwszy raz Kaźmierz patrząc na nią, uczył jakieś rozkoszne bicie serca, nieznany pociąg zajął całą jego duszę, nie wie, czy ziemskie stworzenie, czy Dziedzilię w postaci ludzkiej ogląda. Dla tego to na trudne odebrania nagrody odważył się przedsięwzięcie, aby z rąk tego anioła mógł otrzymać wieniec drogi, aby się zbliżyć, aby się mógł dotknąć tego, co było jedynym oczu jego przedmiotem. Już biorąc z rąk Bronisławy, przy głośnych okrzykach zgromadzenia, splecione gałązki, zbliża się zwolna Kaźmierz do tej, którą uwielbia w duszy, już chce prosić pięknej nieznajomej, aby sama włożyła nagrodę na jego skronie, już przemawia, już ubóstwiona dziewica bierze w białą rękę upłot dębowy, aby uwieńczyć głowę młodzieńca... gdy nagle odgłos zatrzaża wszystkich: słychać szcęk żelaza, tętent koni, drży ziemia,

powiększa się łoskot, gromada jeźdźców uzbrojonych wpada na bezbronne i niewinne ofiary!...

Byli to bracia Zbigniew i Piotr, synowie Krempy starosty Sandomierskiego, na czele uzbrojonego rycerstwa. Ojciec ich, jeden z najgorliwszych chrześcijaństwa obrońców, napojony tym przesądem, iż może być miła Bogu przymuszona nawet nawrócenia ofiara, wytępiał najmniejsze, częstokroć najciotliwsze pogaństwa ostatki, a syn starszy, wyrodek ludzi, upornym nie wahał się nawet mieczem pokazywać drogę do zbawienia. Uwiadomiony o corocznie odprawiających się igrzyskach na wzgórzach dzikiej Sobudki, wysłał starosta synów swoich z poczem rycerstwa, aby w imię prawdziwego i Wszechmocnego Boga skruszyli bałwany pogańskie, rozpedzili dzikie zgromadzenie i znak poświęconego Bogu przedsięwzięcia, Krzyż święty, na miejscu bał-

wochwalczem postawili. Okrutny Zbi-  
gniew zbyt gorliwie wykonał rozkaz ojca.  
Naprawdę czuły i enotliwy Piotr wstrzy-  
muje zapal zajadły, napróżno życzy łago-  
dnością nakłonić do uwielbienia objawio-  
nego rodzajowi ludzkiemu Boga, — nie  
słucha brat starszy, wpadając z koniem  
na potrwożone chłopcy i dziewczęta.

— »Pohańcy! — krzyknął, — precz  
zład!... Bóg prawdziwy woła zemstę za  
zniewagę, którą waszemi obmierzłemi  
ofiary odbiera; drzyjcie przed surowością  
prawa, które potępia niewiernych! Miecz  
karzący zemści się za cześć, którą tym  
podłym z drzewa bałwanom oddajecie,  
a którą temu Bogu winniście! »

Trzymający jeszcze w rękę zasłużoną  
nagrodę Kaźmierz, wysuwa się przed  
jeźdźca. — »Rycerzu! — donośnym wyma-  
wia głosem, — czego żądasz? Patrz na  
te szczere serca! patrz! i powiedz raz  
jeszcze, że znieważamy Boga!... Gdyby



i tak było, nie potrzebowałby ten Pan Wszechmocny twojej zemsty: te pioruny, co karzą zbrodniarzy, spadłyby na niegodziwe głowy nasze, a zmysłowe wyobrażenie Jessy, które widzisz przed sobą, czemuże się różni od tego drzewa, które trzymasz w ręku? «

Na te słowa, które wyrzekł Kaźmierz wskazując na posąg Jessy i krzyż trzymany przez Zbigniewa, zapaliła się od złości twarz tego przestępcy: cięcie szablą było jego odpowiedzią. Oblany krwi potokiem, chwieje się bledniejący Kaźmierz, zraniona głowa zwiesza się na ramiona, upada na ziemię niewinna ofiara przesądu!... Tak młoda jodła, co ledwie kilka wiosen pamięta, którą dzik rozjuszony ostrym kłem w zapędzie podcina, pochyła bujny wierzchołek, a obwisłe gałęzie, co niebotyczne obiecywały drzewa, zwieszane ku ziemi giną powoli.

Obecny Zelisław, tkliwy ojciec, bieży z rozciągniętymi rękami;—»o sromoto!... —zawoła, i pada na martwe zwłoki młodzieńca. Bronisława, której ten widok okropny zmysły niejako odebrał, przeciera oczy... — tak... widzi krew ciekącą strumieniem z głowy ukochanego brata;— rozpacz maluje się na twarzy dziewczęcej, nie dowierza swym oczom, zbliża się.— »Zabójcy!«—jedeny wyraz z przytłumionych wyrwał się piersi, upadła na ręce towarzyszek. Tego, którego krew niewinna nie poruszyła, okrutnego Zbigniewa, potworę w ludzkim ciele, tego oamiała Bronisława; osłupiały, stoi jak wryty, oczy w nią wlepione; nie wie, czy dziewica, czy anioł w jej postaci; zadziwione rycerstwo dzieli uczucia swojego wodza, a Piotr, cnotliwy Piotr, dzieli uczucia wszystkich.

Jeszcze z zadumienia osłupiali nie wyszli najezdniey, gdy niebo czarnemi okry-

to się chmurami, czysty horyzont i błyszczące gwiazdy ciemna okrywa pomroka, lunie deszcz rześisty, gasną ognie rozpalone i nieprzejrzaną ciemnością okryła się natura. Przeszywające powietrze ognie chwilowo oświecają ziemię, a za ponuremi chmurami zdaje się że brzmi głos Przedwiecznego Pana: »Człowieku! nie na to jesteś stworzony, abyś krew rozlewał dla mojej chwały, której pomnożyć nie zdołasz, lecz żebyś używał rozkoszy lub zgryzot, które są twojej prawości albo niecnoty skutkiem!«

Gwałtowne obejście się Zbigniewa, jakież skutek sprawiło na umysłach cnotliwych bałwochwalców? Przestraszone tłumy uciekają, okryte ciemnością zachmurzonego nieba, bardziej ku nieludzkim apostołom pogardą, jak skruchą nawracania przejęte. Ocucony z zachwycenia Zelisław, bierze na barki martwe zwłoki ukochanego syna, ugięty pod tym drogiem

ciężarem, śpieszy z córką najkrótszemi ścieżkami do domu i pierwszy raz podobno w życiu przeklina wiarę, która cierpi morderstwa niewinnego!... Zbliżają się do skromnej zagrody, wychodzą domownicy naprzeciw kołającego pana, przeraźliwe krzyki i płacz powszechny powstaje na widok krwią zbroczonego młodzieńca; zdaje się, że w Kaźmierzu wszyscy utracają syna. Składa Zelisław na łożu blade zwłoki, staje osłupiały, spuszczone ręce, oczy obłąkane, lzy nawet, ta jedyna ulga nieszczęścia, z pod opuszczonych nie wychodzą powiek. Wtem lekki oddech podnosi piersi Kaźmierza, poruszyła się głowa, słodka nadzieja we wszystkie wstępuje serca: obmywają natychmiast zadaną ranę, domowemi ziołami obkładają głowę i w ciepłym łożu kładą obwisłe ciało, czasowym oddechem dające tylko znaki życia. Naprózno nieodstępna Bronisława rzewliwym płaczem,

czułem uściskami wydobyć chce niejako ducha z zimnych zwłok nieszczęśliwego brata; blade nie poruszają się członki, zawarte nie podnoszą się powieki, nie słysząc głosu, okropna nieczułość przeraża serce tkliwej siostry.

Już po tej nieszczęśliwej nocy wysoko podniosło się słońce, gdy pierwszy raz otworzył oczy obumarły Kaźmierz.—»Ojcie! Bronisławo!«— pierwsze słowa zsiłniałe wymówiły usta. Patrzy na zapłakane domownicy, na łzy ojca i siostry otaczających łożę; myśli... przypomina sobie okropne swoje zdarzenie, nabiera siły i przytłumionym przemawia głosem: —»Czego płaczesz? ojcie kochany!... Ty, co tylekroć wystawiałeś mi marność tego życia, ty, coś przeżył zgon ojca swojego i matki naszej!... W młodym umieram wieku, tego tylko żałuję, że nie oddałem długu mojemu krajowi i twoim pielęgnowaniom; zresztą czyste i spokojne su-

mienie zapewnia mnie, iż nie ostatni raz oglądam cię dawco mojego życia!... tam to, (podnosząc oczy w górę) tam wieczne szczęście cnotliwym... Przebaczam z serca nieznanemu mordercy, bodajby to ostatnia była jego zbrodnia... Niech go Bóg poprawi, niech mu przebaczy!... «— Po tych słowach wyciągnął drżącą rękę, ściska nią ojca i siostrę, lzy rześiste oblewają policzki... O jakże srogi widok dla serca rodzicielskiego! Potok łez ulżył nieco dotkliwym boleściom, zasnął Kaźmierz w rękach rozpaczającego ojca.

Drugi dzień mijał, jak już zupełnie zwątpiano o życiu młodzieńca: w ciągłej gorączce to porywa się z zapalem, okropnym głosem przemawia, wznosi ręce w górę, słyhać tysiąc niezrozumiałych wyrazów, to znów w ponurej spokojności pogląda obłąkanemi oczyma w okolo, wzywa cieniów matki swojej, wzywa owej nieznanomej, co takie wrażenie pod-

czas nieszczęśliwych igrzysk na jego sprawiła umyśle, a wszystkie te wzburzenia kończy zupełnem osłabieniem, które znowu żadnemu zmysłowi działać nie pozwala. Lecz wiek młody, zdrowie zbyt-  
kami nie zepsute, a ciągłą pracą wzmacniane, starania wreszcie troskliwego ojca i domowników, wyrwały Kaźmierza z rąk śmierci. Trzeciego dnia już go opuściło ciągle obłąkanie, rana, która do mózgu nie doszła, nie okazała się niebezpieczną, a tak enotliwy Kaźmierzu! nie skończyły się nieszczęścia twoje, żyć jeszcze będziesz!...

Pocieszona zdrowiem brata Bronisława, nieodstępna od niego, ciągle przy łożu przepędzała godziny, uprzedzała każde jego żądanie, a ta troskliwość siostry dwakroć pomnażała zwątlone zdrowie Kaźmierza, który umiał czuć, cenić, i dzielić tkliwą miłość rodzeńską.

Bronisława zwykła była przed smutnem zdarzeniem brata przechadzać się z nim w pogodne poranki do grobowca matki swojej, który na wyniosłem wzgórzu krył się pod cieniem stuletnich jaworów. Ztąd to cała okolica odkrywała się oku, a nawet widzieć można było, jak pierwsze wschodzącego słońca promienie odbijały się o złoczone szczyty wież na świątyniach Sandomierskich; z jednej tylko strony nieprzejrzone lasy okrywały to miejsce rozkoszne. Przebudzona wczesnie jednego razu Bronisława, bierze na siebie swój prosty ubiór, pogląda na uśpionego brata, tysięcznemi żegna go uściski, i z koszykiem w ręku wybiega zbierać kwiatów, aby ten nowy dowód przywiązania kochanemu pokazać Kaźmierzowi.

Na czystem niebie jaśniała jeszcze jutrenka, cichość przerażająca, którą tylko niekiedy ryk domowych zwierząt prze-



rywał, ponura jasność, co poprzedza różowe światło zorzy, jakże to chwile przyjemne dla serca niespokojnością dręczonego! Bronisława nie była tak wesolą: jak przed nieszczęśliwym przypadkiem brata; nie sama tylko troskliwość o jego zdrowie była jej pomieszaną przyczyną: widziała obok dzikiego mordercy, co wytoczył krew niewinną, szlachetnej postaci młodzieńca, widziała, jak porwał za rękę uderzającego zabójcę, i jak ujmujący żal na jego malował się twarzy; jakiś osobliwszy rodzaj wdzięczności zapalił jej duszę, jakiej ani dla ukochanego rodzica, ani dla popiołów matki swojej nie czuła. Dziwi się sama nad sobą, nie może poznać tej siły, która miota jej sercem, i w głębokiem zamyśleniu postępuje zwolna, zrywając kwiaty, co wązką otaczały ścieżkę. Napelniony już był koszyk, gdy stanęła przy mogile matki swojej; złożyła kwiaty na darniowej ławce, a klękną-



wszy przed grobowcem, co krył najdroższe popioły, rosi różane lice łzami, które jej jakiś żal głęboki wyciska.—»O matko moja!—z ciężkiem wymawia westchnieniem, — która zapewne w gronie białych duchów używasz radości wiecznej, matko koehana! czemuż cie nie widzę, czemuż się z tobą nie cieszę!... na łono twoje wylaćbym mogła żal ciężki, który mnie dręczy, a którego zrozumieć nie mogę! Lecz co mówię?... spoczywaj lepiej spokojnie! o jakżeby serce twoje zranione było na widok zniewagi, której wiara twoja doznaje, i okrucieństwa, którego syn twój niewinny stał się ofiarą!...»

Kłęczała tak w zamyśleniu, wzniosłszy oczy w błękitne niebo, gdy szelest z pobliskich krzewów przerwał jej dumanie; uzbrojony rycerz z spuszczoną przyłbicą zbliża się do niej. Wstaje Bronisława, zatrwożona nieco: — »Kto jesteś? rycerzu! i czego żądasz w tych miejscach?«

—Ten podnosi przyłbicę.—»O Boże! to jeden z zabójców brata mojego«—zawoła, i z prędkością oddala się przerażona zgrozą i bojaźnią.

—»Stój...—rzekł chwytając ja za rękę nieznamy — stój! piękna Bronisławo! czemuż unikasz niewinnego i nieszczęśliwego?...«

Bronisława chciałaby się wydrzeć z rąk rycerza, lecz nie zawsze człowiek zdolny jest siłami tego dokazać, czego umysł żąda; chwiejące się nogi kroku dalej uczynić nie mogą, stanęła...

Korzysta z tego młodzieniec.—»Bronisławo!—mówi czule poglądając;—posłuchaj mnie! Nie bez smutku przypominam ten okropny wieczór, w którym z boleścią patrzyłem na niegodziwe zabójstwo twojego brata; ach Bronisławo! widziałem cię... dzieliłem z tobą udęczenie. Widoczna kara niebios, które rzuciły pioruny na nieprawne postęпки nasze, rozłą-

czyła mnie z tobą, powróciłem w ponure mury Sandomierza, lecz twój obraz ciągle mi towarzyszył; nie wiem, co za siła żyć mi bez ciebie nie pozwala: daleki od weselości, bez życia niejako, bląkałem się w tych okolicach... napróżno się dopytuję, napróżno w tych dzikich puszczach szukam śladu twojego, nikt mnie zawiadomić nie chce; jedni z nieufności, drudzy przez niewiadomość wzbraniają się twojego wskazać pobytu... Każdego poranku wyjeżdżam konno, szukam pociechy mojej tęsknoty w tych górach odludnych, gdzie mnie słodka prowadzi nadzieja. Dziś jeden z dobrych wieśniaków, którego spotkałem w podróży, uwiadomił mnie o twojem imieniu, o imieniu twojego ojca i brata, lecz nie wiedziałem gdzie szukać, gdzie ciebie znaleźć mogę. Los jakiś szczęśliwy sprowadził mnie w to miejsce, głos obit się o moje uszy... Zbliżam się... słyszałem ciebie, słyszałem

jak czule do cieniów matki twojej wzdychałaś!... ach Bronisławo!... nie chcę nie tać przed tobą, nie chcę tego nawet tać. co mnie uczyni może obrzydłym w twych oczach... wiedz piękna dziewico, iż to brat mój rodzony... brat wyrodny jest mordercą twojego Kaźmierza. Lecz gardź mną, odepehnij mnie od siebie, ja nigdy wielbić cię nie przestanę!...» I Piotr rzucił się do nóg osłupiałej Bronisławy. Był on w kwiecie młodości, ośmnaście wiosen minęło, jak oglądać zaczął światło słońca, jednego uroku z Bronisławą, w czarnych oczach błyszczał ogień młodzieńczy, na mleczną twarz ciemne spadały pierścienie, a szczególna dobroć i szczerłość, co na jego malowały się twarzy, czyniły go miłym i godnym kochania.

Bronisława na słowa Piotra ochłonęła z bojaźni. Przejęta jego szczerością:—  
»Rycerzu! — mówi, — wiem, że jesteś człowiekiem cnotliwym; w chwili gdy brat

mój cios śmiertelny odebrał, widziałam żal twój, patrzyłam, jak wstrzymywałś zapaleczywą rękę uderzającego... Czuję dla ciebie należną wdzięczność, znam to uczucie, które jest nagrodą dla cnoty!... nie lękam się, bo widzę w twarzy twojej, że niebezpieczeństwo nasze nie jest zagrożone... Lecz ty panie! po co przychodzisz mięsząc spokojność tej ustroni, gdzie imię i postać twoja jest postrachem?... jak możesz z tak uprzejmem sercem, z tak ujmującymi słowy, stawać przed ubogą poganką, którą religia twoja każe nienawidzić... każe zabijać?...

—»Co mówisz? Bronisławo?... Religia moja każe nienawidzić?... ta religia, która w nieprzyjacielu uznaje brata, która mordercy nawet przebaczącą każe podawać rękę?... Nie, Bronisławo! ta święta religia nienawidzić zabrania; złość ludzka i niegodziwe dusze, pod jej pozorem dopuszczają się zbrodni!... Co tobie

nie miło, nie czyń drugiemu; kochaj bliźniego jak siebie samego! któraż wiara na świętszych, na więcej do Boga zbliżających się oparta jest zasadach? Ta to święta wiara każe mi lzy ronić nad nieszczęściem drugich, każe mi nagradzać cierpienia ojca Kaźmierza, każe nawet zanosić do Boga modły o darowanie winy występnemu bratu mojemu. O Bronisławo! widzisz te lzy, najszezersze tłómacze serca; bliski jestem rozpaczy... zatruliabyś na zawsze chwile oplakanego życia, gdybym w oczach twoich wyczytał najmniejszą iskierkę niezastężonej nienawiści!... Lecz nie chcę być wrogiem twojej spokojności, nie chcę dręczyć twych oczu nieprzyjemnym może widokiem; wyrzec słowo;... chceszli mnie więcej oglądać?... chcesz?... rozproszysz chmury, które kryją pogodną dolę mojego życia;... odmówisz? oddalę się, oddalę nieszczęśliwy na zawsze!... Co widzę? lzy przebijają

się w twych oczach; droga Bronisławo! ty jesteś czułą, ty zapominasz, że brat zabójcy stoi przed tobą. Podaj mi rękę, podaj! niech widzę dowód twojej dobroci, niech ją przycisnę do serca, niech to będzie uszczęśliwiającym znakiem przebaczenia.»

Jakaś obca siła ściągnęła na dół rękę Bronisławę; porywa ją Piotr z zapalem, przyciska do łona, ogniem radości zasiały oczy młodzieńca!

Majestatyczne słońce pokazało się wśród rumianego horyzontu, pierwsze promienie padają na Piotra i Bronisławę, zdaje się, że Bóg tą pochodnią światła zapala najczystsza miłością dwa serca równie czyste, równie cnotliwe.

Na widok wschodzącego słońca bierze dziewczę koszyk z kwiatami. — »Cnotliwy rycerzu! — mówi, — brat mój żyje i żyć będzie; młodość jego i troskliwe starania nasze uratowały go od śmierci. Jego



imieniem przebaczam w obliczu Boga bratu twojemu, oby ciebie wziął za wzór swoich postępowań!...» To mówiąc oddała się zwolna.

—»Co? — zawoła Piotr biegnąc za odchodzącą, — brat twój żyje i żyć będzie? o Bronisława! jakżeś pociechę sprawiła sercu mojemu; powracaj szczęśliwa!... pamiętaj, iż Piotr Krempa nigdy nie może zapomnieć o tobie! »

Raz jeszcze obejrzała się Bronisława, oczy jej spotkały się ze wzrokiem stojącego z opuszczonemi rękami Piotra. O jakież ten rzut oka sprawił w ich sercach wrażenie!

Biegła z pośpiechem ku domowi, nawet myśli nie dał miejsca zastanowieniu. Szczęśliwa! że widziała cel swojego przywiązania, nieszczęśliwa! że go tak prędko opuścić musiała... Wyrazy: Piotr, Krempa, utkwily w jej umyśle, jak osoba, która się nimi mianowała, osiadła

w jej sercu. Rozważa, czy należy zwierzyć się ojcu kochanemu tajemnicy swojego serca, chce to uczynić, chce mieć radę w tem nowem dla jej serca zdarzeniu, lecz czyliż Piotr, nieznany z dobrej strony, Piotr brat gwałciciela, może zasługiwać na zaufanie? czyż stan jego nie będzie konieczną przeszkodą, aby mógł w słodkiej równości kosztować chwil wesołych z uboższymi od siebie?... Czyliż pozwoli ojciec roztropny, aby przeciwnik wiary jego obcował z temi, których każdej chwili pognać może? Myśli te, któremi miotany był umysł Bronisławy, pierwszy raz w życiu zniewalają niewinną dziewczę do ukrywania myśli swoich przed ojcem i bratem. Nadeszła do mieszkania, zastała chodzącego ojca i krzątających się domowników; przynosi leżącemu Kaźmierzowi uzbierane kwiaty i w zamian za czule uściskanie składa przy nim owoc rannej swojej przechadzki. Je-

dnak skryta niespokojność dręczyła jej umysł: ukrywać myśli swoje przed ukochanemi osobami, jest to dla cnotliwego serca niepokonanem umartwieniem! Uściskał Zelisław swą córkę; jakże w tej chwili sądziła się występłą i niegodną miłości ojca! Już chciała odkryć zdarzenie swoje i ulżyć ściśnionemu sercu, lecz jak czysta miłość jest drogą do cnoty, tak częstokroć bywają chwile, w których zdolna jest nietylko zaćmić jej powaby, ale nawet najświętszym obowiązkom położyć tamę. Tak w ciągłej niespokojności przepędziła dzień cały; jedyną w jej smutku pociechą było polepszające się zdrowie brata, które całą familię nowym zasiłało życiem.

Nad wieczorem, kiedy już słońce, poziome rzucając promienie, szczyty tylko niebotycznych dębów wieńczyło, wyszła Bronisława do przyległego domowi ogrodu. W zarośli drzew owocowych, samo-

tna, z opuszczoną głową, w głębokiem zamyśleniu: — »cóż czynię?—rzekła ze łzami w oczach,—smutne uczucia, które serce moje trapią, niespokojność umysłu i zgryzota wewnętrzna przekonywają mnie, iż nie postępuję już drogą cnoty... tak, czuję, że jestem występna! Lecz coż za występek? widziałam cnotliwego człowieka, widziałam obrońcę brata mego, i coż jest złego, że go szanuję, że go kocham, tak jak ojca, tak jak mego Kazmierza?... Jeżeli nic złego... czemuż mam tłumić w sobie słodkie uczucia, czemuż się z tem ukrywać, co za dobre uważam?... Nie, sama siebie rozumieć nie mogę, serce chciałoby podzielić uczucia swoje z drugimi, lecz usta trętwieją na wspomnienie, że je wyjawić należy... Ale co mówię?... Dla czegoż się ociągam?... dobry, kochający ojciec możeż mi źle radzić? Jeżeli dobrze czynię, jeżeli ta przyjaźń dla Piotra nie jest występkiem, ach

ojcze kochany! ty ją sam potwierdzisz, ty sam kochać będziesz tego cnotliwego młodzieńca; jeżeli zaś błędę, koniecznością jest słodkie omamienie cnotcie poświęcić.«—Po tych słowach biegnie do ojca, wszystko chce opowiedzieć i jego radą wsparta znowu spokojnych chwil używać. Była już u drzwi domu, stanęła nagle,... bojaźliwe przecucie wstrzymuje jej kroki, lecz znowu nabiera odwagi, wchodzi, zbliża się do ojca, ściska jego rękę, i... słowa wymówić nie może... chcąc ukryć pomieszanie swoje, zwraca się do Kaźmirza, siada przy jego łóżu, a tak wszystkie usiłowania na tem się skończyły, iż więcej niespokojności w umyśle i więcej zgryzoty w jej niewinnem zaszczepiło się sercu.

Po bezsennej nocy nastąpił dzień najpiękniejszy; żadna chmurka nie ćmiła lazarowych niebios, tysiące ptaków na drzewach, któremi miejsca te napelnione

były, piskliwemi głosami witały jutrzennkę. Bronisława tylko jedna, wśród smętnych udręczeń, nie dzieliła przyjemności, która całą ożywiała naturę. Nie weszło jeszcze słońce, a ona już po domowym ogrodzie przechadzała się zamyślona. Pociąg niepojęty kierował jej kroki ku grobowi matki, gdzie pierwszy raz słodki głos Piotra usłyszała; lecz dziewczica, której naturalny rozsądek umiał odnosić zwycięztwo nad popędami serca, zdołała wstrzymać swe chęci.—»I cóż jest za cel, co za skutek nastąpi z oglądania Piotra?—mówiła sama w sobie;—nie wątpię, iż on zapewne z tęsknotą oczekuje na mogile matki mojego przybycia... Ach niemniej i ja czuję tę tęsknotę!... Lecz chociażbym poszła na to tak miłe miejsce, chociażbym widziała drogiego Piotra, czemże to jest... jeżeli nie pomnożeniem aż nadto dolegających mnie boleści?... Widzieć go, i wkrótce z nim się rozłą-

czyć!... nie, lepiej tu zostanę, lepiej  
zawczasie zniweczyć te nieszczęśliwe  
uczucia, nim się staną niepodobnemi do  
przełamania! «

Mniemała Bronisława, że czas był je-  
szcze umorzyć przyjaźń powziętą, nie  
wiedziała nieszczęśliwa, że już w najwyż-  
szym stopniu rozlała się w jej sercu, i że  
jej koniec mógł tylko z końcem życia  
nastąpić! Wszystkich wesóło ożywia  
poranek, wszyscy z radością do dziennej  
zabierają się pracy, Kaźmirz nawet czu-  
jąc wzmocnione siły, wychodzi przed dom  
czystem oddychać powietrzem i na łonie  
natury szukać uzdrowienia; sama tylko  
Bronisława, nieczuła na tyle powabów  
pięknego rana, obcą jest powszechnej  
rozkoszy, tak jak spokojność obcą jest  
jej duszy.

Smutek siostry nie uszedł troskliwego  
oka Kaźmirza: — »Bronisławo! — rzekł  
jej, — co za udręczenie na twojej maluje

się twarzy?... to przywiązanie, które mnie uszczęśliwia i pierwszym jest w boleściach moich lekarstwem, przekonywa, iż łzy, które mimowolnie przezierają w twych oczach, są to łzy litości nad moim nieszczęśliwym stanem. Lecz czuję wzmacniające siły, czuję, iż niezadługo wspólnie znów z tobą cieszyć się będę rozkoszami zdrowia i sposobną porą okazania ci wdzięczności za troskliwe twoje starania, za przepędzone przy mnie bezsenne noce! « — Tu ścisnąwszy z rozrzwieniem Bronisławę: — »Ach kochana siostró! jakże jesteś czuła, jak jesteś kochania godną! « — Dreszcz przeszedł na te słowa po członkach biednej dziewczicy; — dobry bracie — pomyślała sobie — gdybyś wiedział, z jakiego źródła te łzy płyną, gdybyś wiedział, ile mnie kosztuje utrzymanie tej tajemnicy, mniej może przywiązania, lecz więcej litości okazałbyś nade mną!... — Zwyciężała się przymuszoną



wesołością, mniemał Kaźmirz, iż słowa jego sprawiły tę pożądaną odmianę; lecz jak rzadko stan duszy zgadza się z powierzchniemi oznakami!...

Słońce zniżyło się ku zachodowi, ukośne promienie nie sprawiały gorąca, a powiew chłodnego wiatru wzywał na przechadzkę. Bronisława z koszykiem w ręku wychodzi na pobliskie łąki; każdy przedmiot, który w towarzystwie drugich przed oczami widziała, zdawał się obłąkanemu umysłowi przyczyną jej trosków; rozmowy nawet ojca, których dawniej z taką radością, z takim słuchała zapalem, teraz tylko obijały się o uszy, nie przechodząc do serca. Aby ulżyć dotkliwym cierpieniom przez łzy rześiste, szuka osobności, idzie zbierać kwiaty, nie myśląc nawet, gdzie dąży i po co. Nie wyszła jeszcze z zadumania, które towarzyszyło jej przechadzce, gdy stanęła na miejscu; ogląda się trwożliwa, nie widzi nikogo,

a łez rzewnych skropiona potokiem, klęka podług zwyczaju swojego na zielonej mogile. Po krótkim zamyśleniu wznosi niewinne oczy w górę, jakież widok!... wieńiec z liści dębowych, świeżemi przepleciony różami, wisi nad jej głową na niebieskiej wstędze uwiązany u gałęzi rozłożystego jaworu.— »To on, — rzekła — to on zapewne czekając dziś napróżno, tą skromną rozrywką skracał chwile tęskliwe; o Piotrze! jakże to prosty, jak czuły, jak do serca przemawiający znak po sobie zostawiłeś! Ach czemuż przeznaczenie kazało ci się urodzić w tych pysznych murach, w tym blasku bogactw, w którym niczego, prócz prawdziwej rozkoszy nie brakuje! czemuż cię różni religia i stan twój dostojny? czemuż w szczupłej niewychowany dziedzinie, nie kosztujesz słodyczy prostoty, którą niewinność czerpa w naturze. Wiara nie byłaby przeszkodą wstępu do domu naszego, a przez nie-

sześliwe zdarzenie nie stałbyś się obrzydłym dla mojego ojca i dla wszystkich spokojnych mieszkańców, co drżą na twoje wspomnienie. Mogłabym cię ciągle oglądać!... ach mogłabym...« tu lzy rzęsiście przerwały jej mowę.

Dzielił je także Piotr rozrzewniony, ukryty w wklęsłości wyprućniałego dębu, unosił się radością na słowa kochanki, każdy wyraz nowy rodzaj rozkoszy wlewał w jego serce; widzi lzy ukochanej osoby, nie, wytrzymać dłużej nie może, wybiega z przyjemnego ukrycia, staje przed Bronisławą. Znak nieskażonej niewinności, zakwitły róże na jej niewinnych licach; podniosła się, bierze ją Piotr z tkliwą czułością za rękę. — »Tak, zgadłaś Bronisławo, — rzecze, — ten upłot z liści i kwiatów, jest to owoc niecierpliwego oczekiwania. Razem z jutrzrenką na tem znajdowałem się miejscu, zniknęła przed słońca światłością, a ciebie jeszcze

nie było, cieszyłem się przynajmniej two-  
 jem wyobrażeniem, cieszyłem się, że na  
 tem klęczę miejscu, na którym ty klę-  
 czałaś, że łzy moje w tę samą siątkły mo-  
 giłę, którą ty rosiałaś swojemi. Ujrzałem  
 cię z daleka, w tym wypruchniałym dębie  
 oczekuję twojego przybycia. Nadeszłaś...  
 słowa pocieszające nowe nadają mi ży-  
 cie! Tak, z ochotą stan mój zamieniłbym  
 na wasz byt rozkoszny, obrzydła mi nik-  
 czemna i wymuszona wspaniałość... gar-  
 dzę nią... gardzę wszystkim, czego do-  
 tąd używałem... bo cóż, droga Bronisła-  
 wo! pójść może z tobą w porównanie?»

Nowem zapłonieniem odpowiedziała na  
 te słowa dziewczica; szczere i ujmujące  
 spojrzenia Piotra: ośmieliły ją nareszcie  
 z rozrzewniającą prostotą opowiedziała  
 mu co czuje, wyznała, iż go kocha jako  
 brata, iż w jego oddaleniu posepna tę-  
 sknota dręczy nieprzestannie jej serce;  
 opowiedziała nakoniec, iż ojcu nawet, bo-

jaźnią jakąś przejęta, nie wyjawiała, że na grobie matki widziała cnotliwego chrześcianina.

—»Ta myśl,—odezwie się Piotr,—że ojcemu zdarzenie swoje odkryjesz, niespokojności mojej była przyczyną. Trudno to wprawdzie, a nawet zdaje się występkiem, przed ojcem, przed pierwszym przyjacielem, nie odkrywać tego co serce czuje; lecz zważ Bronisławo! nagle wiadomienie mogłoby mnie nazawsze pozbawić pociechy oglądania ciebie. Któżby się nie brzydził gwałcicielem spokoju, współnikiem zabójstwa! Dobry twój ojciec nie sądziłżeby, że nową zbrodnią chcę zatruć jego życie? postępkiem brata mojego zrażony, czyliżby nie miał słusznych przyczyn obawiać się nieznajomego, możnego, a nawet religią różniącego się człowieka? Lecz zwolna Bronisławo! chcę go wprzód przekonać o sercu mojem, chcę mu pokazać, jaka krew we mnie

płynie i jakimi postępowanie moje rządzi się prawidłami, a czas przyjdzie, że mnie uzna godnym swojego serca!...»

Na najtkliwszych rozmowach długi czas upłynął, śmiałość, która tak mile przystoi niewinności, ufność i przyjaźń dodawały prostym jej wyrazom ognia, a stroskane serce, nową odżyło nadzieją; nie czuła nic więcej, tylko słodką radość, nic nie zajmowało jej wzroku, tylko przyjemna Piotra postawa; wypływające z ust młodzieńca wyrazy, samą tętnące cnotą, ujmującym wdziękiem napojone mile głaśkając uszy, przechodziły do serca.

Zbliżający się wieczór rozłączył ich nakoniec: ścisnął Piotr rękę kochanki a wymawiając: — »Jutro, jutro ujrzę cię znowu droga Bronisławo!...« oddalił się na dzielnym rumaku, co do pobliskiego przywiązany był dębu, napojony niewinną radością, którą tylko czułe i nieczepsute serca wystawić sobie zdołają.

Powracała z pośpiechem.— Tak, nie złego nie uczyniłam,—pomyśliła sobie, — czemuż nie mam używać ukontentowania, które nie sprzeciwia się enocie? Kochany ojciec wiedzieć o wszystkim będzie, do wie się później z radością, o czym teraz nie mógłby może słyszeć bez zgryzoty. Słuszne są uwagi Piotra, iż nagła wiadomość o schadzce z możnym chrześciani- nem, bardziej bojaźnią i gniewem przejąć może zrażonego ojca dzikim Zbigniewa postępkem, jak zwrócić jego uwagę na niewinność i czystość zamiarów dobrego młodzieńca. Czekajmy cierpliwie!... przyszłość uśmiecha się przed nami; Bóg ten, co patrzy na nieskażoną duszę i na pocz- ciwe postęпки, nie pozwoli zapewnie, aby na złe wyszły te uczucia, któremi sam natchnął serca nasze. — Tak nadeszła do domu, wesołość i spokojność malowała się w jej oczach; w towarzystwie ojca, brata i domowników przepędziła

rozkoszny wieczór pod konarami odwiecznego dębu.

Zelisław opowiadał czyny sławnych wojowników, którzy wspólnie z nim walczyli, wystawiał uroczystości i dziwne obrządku, które zaprowadziła wiara chrześcijańska, i przepowiadał niechybny upadek narodu zmieniającego wyobrażenia i błogosławione obyczaje przodków.—  
»Zamiast pokory,—rzekł—którą wiara ta ma przepisywać, widzimy dumnych kapłanów, co z obcej sprowadzeni ziemi, nowe zaszczipiają zwyczaje; zamiast spokojności i braterskiego bezpieczeństwa, najeżdża rodak rodaka!... toż więc Bóg Wszechwładny, w którego jest mocy wlać w jednej chwili w serca całego świata ducha dobrej religii, miałby używać ludzi i krwawemi poić się ofiarami, aby zaprowadzić przymuszoną cześć dla siebie!... Wreszcie, byliśmy szczęśliwi, szczęśliwszemi nie będziemy nigdy; cze-



muż nie trzymać się tych zwyczajów, które przeszłej pomyślności towarzyszyły? to, zdaje mi się, najmilszem może być Bogu, co szczęście ludzi stanowi.»

Na każdy wyraz, niechętny ku religii Piotra, drżała potajemnie Bronisława, ach jakże żałowała, że Piotr, Piotr ukochany nie był poganinem, nie był prostym mieszkańcem miejsc tych rodzinnych.

Miesiąc już jeden mijał, jak Bronisława przed wschodem słońca wyszedłszy z ojczystej zagrody, pędziła codziennie chwile szczęśliwe z ukochanym Piotrem; rozmowy najśodsze, niewinne zabawki były rozkoszami nad wszystkie jakich dotąd doznawała. Czasem szli na wyścigi, kto pierwszy uzbiera wielki bukiet najpiękniejszych kwiatów, kto prędzej wieniec z nich uwije; czasem też o religiach swoich rozmawiali z zapałem. Bronisława, której słowa ojcowskie głęboko w sercu utkwily, z naturalną prostotą odpowiadała

na zarzuty Piotra, który życie dać był gotów, byleby najdroższą osobę ujrzał na prawej drodze prawdziwej wiary. Nieporuszoną była dziewczica, zarzuty jej odbijały się od nieugiętego przekonania Piotra; tak w dwóch odmiennej wiary osobach, co jednym żyły sercem, miłość nie odniosła zwycięstwa nad przywiązaniem do mniemań religijnych.

Kilka dni deszczowych nie pozwoliły wydalać się z domu. Nadzwyczajna tęsknota z niewidzenia ulubionego przedmiotu, niczem zabawić, niczem nawet zatrudnić się nie pozwalała smutnej Bronisławie. Niecierpliwa, oczekuje chwil pogodnych, aby znowu miłą odnowić przechadzkę; nadeszły te nareszcie: po sześćcio-dniowej słocie, pogodny wieczór zapowiadał najpiękniejszy nazajutrz poranek. Korzystała z niego: wybiegła bardzo rano z domu, błyszczące gwiazdy jedynymi były jej towarzyszkami. Czyste

powietrze, kwiaty i zioła, wilgotne jeszcze po ciągłych deszczach, najprzyjemniejsze wydawały wonie. Stała na miejscu schadzki, nie było jeszcze Piotra; jego osobą zajęta jej wyobraźnia, w każdym poruszeniu gałęzi słyszała chód przyjemny, w każdym przedmiocie, który odsłaniały pochylone od lekkiego wiatru krzaki, widziała ulubionego postawę. Zapomina Bronisława o zwyczaju podniesienia pierwszych myśli do cieniów swojej matki, pogląda z niecierpliwością na wszystkie strony; ani głos słowika, co w ciemnych zaroślach niebieskimi tony rozwesela puszcę, ani szum rozbijającego się o skałę potoku, nie zajmuje jej uwagi. Nie wiedziała co czynić: wszystko ją nudzi, wszystko jest przeszkodą, bo nie ma Piotra, który tylko wszystkiemu przyjemność powrócić zdoła. Obląkane oczy wzniosły się przypadkiem w górę; dusza miłości łatwo przenosi się do cudów po-

tęgi Boskiej; tysiące światel niebieskich, których blade promienie nikły zwolna przed zbliżającym się światłem słońca, najprzyjemniej jaśniały na lazurowym sklepieniu. Porwana tym widokiem Bronisława, którego wspaniałość dziki szum puszczy pomnażał, zapomina o Piotrze, zapomina o ziemi, niewinne serce i umysł wznoszą się na łono Boskie, w nieprzejrzane tajniki przyszłej nadziei.—»Jakże to potężna ta ręka,— rzekła — która tyle tysięcy ogniów zapala i gasi codziennie! jakież to będzie szczęście, unosić się kiedyś nad temi gwiazdami, i patrzeć spokojnie na marność świata tego! Nie znają tam zapewne co to smutek, co udręczenie; za cierpienia doczesne wieczna szczęśliwość jest nagrodą dusz nieskazitelnych! Nie rozróżnia ludzi religia ni urodzenie, na łonie jednego Boga spoczywać będą król i kmiotek, Chrześcianin i Sławianin pocziwy! O Jesso! któżby śmiał

narzekać na niedościgłe wyroki twoje!«—  
 Wzrok tonął w nieprzejrzonej przestrzeni,  
 umysłowi zapalonemu zdaje się, iż Bóg  
 na tronie wspaniałym, wspartym na ty-  
 siącu skrzydlatych duchów, unosi się  
 wśród gwiazd gorejących; niezmierna  
 przestrzeń Majestatem, ziemia zdawała się  
 podnóżkiem Stworzyciela. Tak to umysł  
 maluje sobie przyszłe i niewiadome rze-  
 czy, których wyobrażenia udziela mu we-  
 wnętrzne uczucie, najdoskonalsza istność  
 w człowieku.

Tentent konia przerwał zachwycenie  
 Bronisławy z zagłębień niebieskich prze-  
 nosi się dusza do ziemskich rozkoszy.  
 Piotr, który po kilkodniowym niewidzeniu  
 dwakroć wydawał się piękniejszy, lekko  
 zsiada z rumaka, przywiązuje go do puia  
 i zbliża się spiesźnie. Nie ukrywała, nie  
 mogłaby nawet ukryć dziewica swojej  
 radości, idzie kilka kroków naprzód; przy-  
 stąpiwszy z poszanowaniem młodzian:—

»Jużes tu przybyła Bronisławo! słońce daleko jeszcze za górami, a ciebie na tem miejscu oglądam?...« — Uścisnął jej rękę... miłość ma szczególny rodzaj mowy: jedno dotknięcie za dziesięć słów wytłumaczy. Zapytał się o zdrowie ojca i brata, miłą była Bronisławie ta pamięć o nieznanym osobach; rozmowa przyjemna zajęła miejsce milczenia po tęsknocie, radość napelniła serca młodociane. Wzniosły się znowu w górę oczy niewinności. — »Cóż cię tak zastanawia? kochana Bronisławo!«

— »Widzisz te tysiące światel gorejących na niebie, miarę wielkości Boga, — odpowiedziała ona — małaż rzecz do zastanowienia?«

— »Tak Bronisławo! — rzekł znowu Piotr z zapalem — te dzieła Boga, te wspaniałe utwory, wielkie dowody Jego Wszelchności, kogożby nie poruszyły!... na widok tych cudów świata, któż-

by się nie przejął czecią pokorną ku tej Istocie, której rąk to wszystko jest dziełem? Niewartaż ta Istota dobrotliwa wdzięczności nieskończonej i nieporównanego uwielbienia?... Droga Bronisławo!... ty enót jesteś wzorem i wzorem dobroci; bodajby prawa religia oświeciła twą duszę!... byłabyś aniołem na ziemi. Ten Stwórca, którego dzieła tak cię zdumiewają, nie odbiera od ciebie należnej chwały. O! gdybyś poznała wszystkie wiary chrześcijańskiej świętości, gdybyś cześć oddawała prawdziwemu Bogu, nie kamiennym posągom, Bronisławo!... dziś gotów jestem umrzeć dla ocalenia ciebie, wtenczas umarłbym zapewne z radości!»

—»Dopókiż Piotrze kochany prześladować mnie będziesz wiarą mojego ojca?... — odpowie dziewica z uczuciem ujmującym; — nie mam ja za złe tej gorliwości, gdyż uważam po sobie, jakie przywiązanie czuję do przodków moich

religii; lecz czemuże ta chrześcijańska wiara lepszą jest od tej, która od wieków była szczęściem ludów Sławiańskich?... Mówisz, iż należnego uwielbienia Bóg nie odbiera odemnie; dziwiąc się nad dziełem Jego, nie jestże uwielbieniem Stwórcy?... Jakaż inna chwała, jakaż cześć inna służyć może Najwyższemu Duchowi?... Wreszcie, czy rozumiesz Piotrze, że wiara moja kilku uznaje Bogów?... Nie, jeden jest, jeden, bo nie ma Wyższego!... Lecz cóż to szkodzi, że słaby umysł ludzki, za każdy rodzaj dobroczynności, innym nazwiskiem ogólnego Dawcę szczęścia nazywa? I wy nie różnicie się od nas w tym względzie, słyszałam, że także tysiącom małowideł oddajecie pokłony, w wspaniałości kościołów, w kosztowności obrzędów, zakładając chwałę Boską. Przekonanie nasze nie zna w czei Stwórcy żadnej wspaniałości, żadnego przepychu; w czystym polu, w zarosłym lesie,



wszędzie bez przygotowań, bez okazałości, Bóg cześć należną odbiera, o której nawet nie myślimy. Gdy pożywamy te plony z obfitych łąnów, Bóg pod imieniem Marzanny jest przedmiotem wdzięczności; gdy piękny dzień rozwesela stworzenia, pod nazwiskiem Pogody niesiemy uwielbienie Stwórcy; łącząc małżeństwa cnotliwe, w imieniu Dziedzili hołd odbiera prawdziwy i jedyny Jessa. Kochany Piotrze!... jesteś Polakiem, dziad twój, twoi przodkowie szczęścia używali, nie znając innej wiary, prócz wiary ojców. Dla czegoż my gardzić mamy tym jedynym zabytkiem przeszłości, tem, co cnotliwym i niezepsutym ludziom, a zatem i Bogu jest miłe?»

Piotr słuchał z milczeniem, potrzeba było wielkiej słabości duszy, aby się oprzeć skutecznie słowom uniesionej kochanki. Charakter Piotra był nieugięty, kochał, przecież umiał kochać bez skaże-

nia swojego przekonania.—»Bronisławo moja kochana! — rzekł z powolnością, — ty mówisz to, co czujesz; jesteś pogan-ką, jesteś cnotliwą, uwielbiasz zwyczaje, które prowadziły cię do prawości; lecz nie wiesz jeszcze, co to jest wiara chrześcijańska, źródło pomyślności, wzór cnotliwego postępowania! Sądzisz o niej z czynów, sądzisz z popełnionych występ-ków przez ludzi przewrotnych, którzy jej w sercu nie mają; lecz trzeba znać grunt tego Boskiego wyznania; wszystkie cnoty, które zaszczycają cię, są to zasady świętej religii Chrystusa, nie ma tam najmniejszego śladu czynów, któreby człowieka z Bogiem niejako nie równały!... Gdyby zepsute serca ludzi kierowały się zbawiennemi przepisami... ziemia byłaby niebem. Nieprzyjaciela nie zna wiara moja, złe dobrem nagradzać nakazuje!... Bronisławo! dosyć na tem, to jedno prawidło już wyższe jest nad wszystko, cze-

go człowiek żądać może. Czas ciebie przekona... będziesz, tak, będziesz chrześcianką, nazwiska ci tylko brakuje, abyś nią była.«

Nie na te słowa nie odpowiedziała dziewica; wyrazy Piotra, w których czytała prawdę, zniewoliły jej serce ku wierze kochanka, lecz jedno wspomnienie na ojca, na brata, na popioły matki, niezachwianym uczyniło jej umysł. —»Na zawsze zachowam zwyczaje mych przodków!...» te tylko słowa wyrwały się mimowolnie z jej piersi.

—»Stalo się,—rzekł Piotr,—nieprzejrzane są wyroki Boga! bądź Bronisława tak dobrą, tak enotliwą, jak byłaś dotąd, reszta zależy od przedwiecznej mocy!... Nie brzydz się tym, który zoczywszy światłość, trzymać się jej pragnie na wieki; niech różną wiarę jedne zastępują uczucia, jednakowe postęпки. Bronisława!... dzień każdy stokroć czyni cię mil-

szą sercu mojemu, godna jesteś wiecznego uwielbienia; szczęśliwy! komu ta ręka osłodzi ciąg przykrego życia, komu zamknie przy zgonie powieki!...«— Tu zbliżył się... ścisnął białą rękę rozrzuwnionej dziewicy, uczuł raz pierwszy wzajemne uściśnienie... siła niepojęta zapaliła jego duszę, rzuca się w objęcia Bronisławy!... Nagle słońce przewyższa góry, co zdala zdają się być zasłoną pierwszych jego promieni; ogień niebieski rzuca na ten rozrzuwniający widok świetne promienie, tak, jak oświecił pierwsze związki przyjaźni.

Cofnęła się zmięszana dziewica, żywy rumieniec wystąpił na twarzy Piotra: pierwszy raz w życiu kosztowali nieporównanego szczęścia... niewinnego uściśnienia!... Tkliwe wejrzenia, czułe rozmowy, nasycić nie mogą kochanków. Czas już aby się oddaliła Bronisława, wznoszące się słońce woła ją do rodzin-

nych progów, chce to uczynić... wraca się... okropne przeczucie miota jej sercem, głos wewnętrzny uwiadamia ją, że już raz ostatni ogląda ukochanego Piotra; raz jeszcze podaje mu czule drżącą rękę... oblał ją łzami radości młodzieniec... —bądź zdrow!... — bywaj zdrowa!... — te tylko słychać wyrazy... i spiesznie odchodzi cnotliwa, godna kochania dziewczyna.

Idź, idź, Bronisława!... długi czas minie, nim podobnej użyjesz rozkoszy!...

## II.

Sandomierz, jeden z najdawniejszych grodów królestwa, w rozkosznej położony jest okolicy. Na wschód Wisła pomnożona wodami Sanu, na południe, zachód i północ górzyste niwy, najpiękniejszą okryte pszenicą, otaczają ruiny tego starożytnego miasta. Niegdyś obszerne i ludne, dziś gruzy i zwaliska; ze wszystkich stron wieczna pamiątka Kaźmirza Wielkiego, złotego wieku, czerwienieją się wyniosłe mury, a bramy i baszty wznosząc pootrącane wierzchołki, smutnemi

są pomnikami okropnych wojen i zniszczenia. Wśród niw okrytych bujnemi kłosa-  
kami, najcenniejszym skarbem narodu,  
sterczą starożytne świątnice, poorane  
rozpadlinami, któremi je sześć wieków  
nacechowało, a na ubocznem wzgórzu,  
odwieczne, bo od niepamiętnych czasów  
istniejące, wznosi się okopcałe zam-  
czysko.

W tej starożytnej budowie, o której  
początkach śladu nawet ani w historii  
ani w podaniach tamiecznych mieszkań-  
ców znaleźć nie można, z kilkoma rotami  
rycerstwa mieszkał Krempa, starosta  
Sandomierski, pan możny, szlachetnie  
myślący, lecz którego dobre z natury  
serce, kaziła aż do znieważenia słuszno-  
ści częstokroć przyprawiona o rozsze-  
rzenie wiary chrześcijańskiej gorliwość.  
Obronne mury nie otaczały jeszcze ob-  
szernego grodu, groźny zamek warowne-  
mi opasany wały, był zasłoną i przytuł-

kiem okolicznych obywateli przed najazdami nieprzyjaciół. W nim to dwaj synowie starosty, Zbigniew i Piotr, w rycerskich ćwiczyli się turniejach; oba pięknej postaci, lecz na twarzy Zbigniewa malowała się jakaś dzika nieładzkość, czyste zwierciadło jego duszy, gdy Piotr przeciwnie, wspaniałość z łagodnością, z skromnością śmiałość, wyryte niejako nosił na czole. Równą miłość posiadali ojca, lecz starszy Zbigniew, już wyćwiczony w szkole zbrodni, znający charakter swojego ojca, rządził samowładnie jego chęciami. Z nikim nie wiązała go przyjaźń, nie cierpiał brata, nienawidził każdego, tak, jak wszyscy brzydzyli się ohydny jego postępkami. Rozhukane namiętności nie znały hamulca; ani niewinność obrony, ani enota pomocy naprzeciw jego przestępstwom nie znajdowały u starosty. Co dawniej otwarte zamku bramy każdemu wolny wstęp czyniły do domagania



się słuszności i sprawiedliwości, teraz nikt krzywdom swoim nagrody uzyskać, nikt gwałtom tamy położyć nie może. Zbigniew zastępuje ojca, zbrodniarz, własne sędzi zbrodnie, wyrządzoną niegodziwość nową niegodziwością nagradza. Nieszczęście! gdy wymiar sprawiedliwości albo słabym, albo przewrotnym powierzony jest ręką!...

Po nizezemnej wyprawie, która spokojnych mieszkańców okolic Sobódki napoiła bojaźnią i nienawiścią, długą utrudzeni podróżą, rześistą ulewą przemokli, powrócili bracia wraz z rycerstwem w ponure mury zamkowe. Pomroka nieprzejrzana, która zstąpiła na ziemię, niepozwoliła widzieć schronień uciekających bałwochwalców, a Zbigniewowi do większych może zbrodni zamknęła pole. Wśród gwałtownej burzy stracił z oczu Bronisławę, nie wiedział, co z ranionym stało się Kaźmirzem. Przyjemny widok rozpacza-

jącej dziewicy wzburzył jego namiętności, żałuje, że nie rozkazał żołnierstwu porwać nieszczęśliwej ofiary, żałuje, że raz pierwszy żądom jego nie stało się zadosyć. O jakże różne były Piotra uczucia! litością napelnione serce, w umyśle wyryty obraz Bronisławy, to były pierwsze drogi, które do najczystszej prowadzić miały miłości! Wysłał kilkakroć Zbigniew służalców zamkowych, aby wysłędzili, czyją była córką dziewica, której brat okrutnej jego doznał ręki; lecz wszystko było napróżno, nikt wyjawić nie chce, każdy się niewiadomością tłómaczy. Wyszła wkrótce z myśli jego chwilowa żądza, a przewrotne wystawienie postępowania z mieszkańcami Sobódki, zjednało mu pochwałę od ojca, który się cieszył, że w synu swoim tak gorliwego widzi Chrześcijanina.

Lecz Piotr bez zgryzoty patrzeć nie mógł na starszego brata, na jego widok

w oczach mu stawało okropne zdarzenie, którego niewinnym był współnikiem. Poznawał to przebiegły Zbigniew i nienawiść, wrodzoną niejako, nową pomnożył nienawiścią.

Tak minęło dni kilka. Nie poznawszy jeszcze ani powziąwszy wiadomości o pobycie Bronisławy, powracał Piotr nad wieczorem do zamku. Całodzienne utrudzenie niknęło przy miłym wieczorowym chłodzie, zwolna dzielny koń postępował. Pod wałem warowni postrzega jeźdźcie jęczącego człowieka. Zbliżył się:—»Ojcie!—mówi do niego, —co za przyczyna o tej porze i w tem miejscu wyciska twoje jęki?»

—»Ktokolwiek jesteś panie!—odpowie podnosząc głowę, — bez sił już prawie zostaję, nie chciaj mi odmówić ratunku, nie dla mnie, lecz dla jedynej, dla nieszczęśliwej córki!...« Tu tży dalej mówić nie pozwoliły.

Struchlał Piotr na płacz, co sędziwe rosił policzki; starość, podwójne litości sprawia wrażenia, — »I owszem, ojcze! — rzecze dalej, — tuż w zamku znajdziesz przyzwoite schronienie, pozwól niech cię na tego konia wsadzę, i nie wzbraniaj mi tej pociechy, abym wiek twój podeszły mógł ucześć małą przysługą.«

— »Wytracono mnie ztamtąd, — odpowie nieznajomy z żywością, której mu nagle krwi wzburzenie dodało. Słuchaj pocziwy młodzieńcze! jestem wysłużony żołnierz; po podjętych w młodości trudach, chciałem spokojnie dokończyć życia pod wiejską strzechą; szczupłe posiadając włości, mieszkam w Samborecu, wiosce, co ku południowi leży na tej górze, która się wznosi nad Wisłą. Cieszyłem się z dobrych dziełek, które starości mojej jedy-ną być miały pociechą, gdy wczoraj syn tutejszego starosty, przy polowaniu obiegając tameczne okolice, napotkawszy je

w polu, najbezpieczniejszej chciał się dopuścić zbrodni, chciał porwać ośmnastoletnią mą córkę! Stawił się Bogdan brat jej starszy mężnie w tej przygodzie; niezatrwożony, widząc uzbrojonego rycerza, odebrał z rąk jego Wandę, i kiedy ta z płaczem donosi mi zadyszana o tem niespodziewanem zdarzeniu, on przez nadeszłych służalców porwany, nie wiem dotąd gdzie zostaje. Udałem się natychmiast do zuchwałego starościca, proszę, błagam klęcząc o oddanie mi syna; lecz ani prośby, ani łzy, twardego nie poruszają serca!... Oznajmiono mi nakoniec, iż ponieważ nowa wojna wkrótce się rozpocznie, syn mój do obozu odesłanym został. I ja służyłem krajowi, nigdy od tego syna mego nie wyłączam: szlachetne jego urodzenie przeznaczyło go do bojów, sam oczekiwałem pory, aby mógł oddać dług ojczyźnie i aby wiek swój młodzieńczy rycerskimi rozpoczął trudy; lecz wyry-

wać go z domu ojca, bez jego wiedzy, bez błogosławieństwa, tego serce moje znieść nie może! Niespokojny o życie syna, wydieram się z rąk żony i córki, mimo podeszłego wieku przybyłem tu jeszcze przed zachodem słońca, aby iść do samego starosty i u niego sprawiedliwości szukać. Wchodzę w bramę, zaledwie oświadczyłem odźwiernemu co mnie do Sandomierza sprowadza, wytrącił mnie bezczelny z miejsca, gdzie w nieszczęściu ratunek znaleźć powinienem; obelżywami okryty słowy, smutkiem przejęty, kroku już dalej uczynić nie mogę. Kiedy w walecznych niegdyś umieszczony szeregach, odbierałem zaszczyty wojenne, nagrody mych trudów, któżby się spodziewał, iż w starości mojej, podły odźwierny obelżywą na mnie podnosić będzie rękę!«—Tu ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi starca.

Piotr poglądał na niego pełnym czułości wzrokiem. — »Tak, — rzecze z zapalem, — sprawiedliwość wykonaną być musi; ja należę także do rycerstwa, co zamku tego strzeże, pójdź szanowny człowieku, albo syna odzyskasz, albo sprawiedliwości już nie ma na świecie!« — Orzeźwiony starzec podnosi się, wziął go Piotr pod rękę, drugą dzielnego ująwszy rumaka. Nadeszli do gotyckiej bramy: na głos Piotra skrzypiące otwierają się podwoje i w ciemności wieczornej udaje się za nim nieszczęśliwy ojciec. Weszli na obszerny dziedziniec; biegnie młodzian do starosty, który w towarzystwie okolicznych obywateli przepędzał wieczór na zabawie, przywołuje go do przyległej sali, ze łzami w oczach opowiada krzywdę, której niewinny doznał nieznajomy, i całując ręce ojca, o sprawiedliwość prosi. Przywołano starca: był to Natęcz, jednej z najdawniejszych Polskich familij poto-

mek, którego rodzice w zaburzeniach za Kaźmirza Mnicha, cały utracili majątek. Opowiedział nieszczęście swoje staroście, na którego rozkaz przywołano natychmiast Zbigniewa. Ten wchodzi, groźnym zaraz głosem zapytuje go ojciec: co by miał za powód do wyrządzenia gwałtu mieszkańcom, których spokojności strzedz winien.

Kto inny nie Zbigniew możeby się zarumienić na te słowa, lecz on, któremu wszystkie przebiegi obce nie były, — »Bronilem tylko, — rzekł obojętnie, — praw, które się Bogu należą. Przejeżdżając na polowaniu blisko lasu, ujrzałem siedzących nad źródłem syna i córkę tego człowieka; poszedłem ugasić pragnienie, witam ich chrześcijańskim pozdrowieniem, nie nie odpowiadają; zapytałem się, czy są chrześcianami? na to pytanie, które mi podała do ust troskliwość o ich zbawienie, znieważającemi świętą naszą



religię odpowiedzieli mi słowy. Prawdy wiary naszej zacząłem opowiadać obojgu i życzyłem, aby nie opuszczali zdarzenia, które ich światłem wiary uszczęśliwić może. Zuchwałe młodzieńca odpowiedzi zniewoliły mnie, iż widząc dwór mój nadchodzący, rozkazałem go wziąć, jako głównego nieprzyjaciela wiary świętej; a ponieważ rozkaz Króla, na nowe walki uzbrajać się zaleca, odesłałem go do obozu, aby tam przy rycerskich zatrudnieniach korzystał z nauk duchownych, i porzuciwszy błędy, prawdziwego uznał Boga. Jeżeli w czem wykroczyłem, nad gniew twój, kochany ojeze, czyż może być większa dla mnie kara?»

Te słowa z taką wyrzekł układnością, iż ojciec pocałowawszy go w głowę:— »Bóg cię błogostawić będzie, synu! — rzekł, — gdy tak troskliwie starasz się o Jego chwałę;«—a obracając się do Nałęcza: — »więc jeszcze bałwochwalcze

zaślepiają cię błędy? starcze, więc jeszcze dzieciom swoim zazdrościsz światła prawdziwej wiary?... Czy jesteś poganinem?...

—»Tak wierzę, — odpowie Nałęcz, — jak mój ojciec, jak moi wierzyli przodkowie.«

—»Starość twoja wymawia cię przedemną, — rzekł znowu Starosta, — lecz tem bardziej przymuszony jestem zatrzymać syna twojego w rycerskich chorągwiach, aby był oddzielony od społeczeństwa, które go od zbawiennej wiary odwodzi. Nałęczu! bliski jesteś grobu, rozważ co jest Bóg, przyjmij chrzest święty, a nietylko syna ujrzysz w swym domu, lecz nawet szczególniejszej przyjaźni doznasz odemnie, inaczej zabraniam ci na zawsze wstępu do tego zamku; namyśl się i powracaj.«

—»Znam co jest Bóg, znam, — zawołał z czułością Nałęcz; — nie wiecie zape-

wnie, jaka boleść przenika serce ojcowskie, gdy mu wyrywają syna. Lecz nie znieważę cieniów mych przodków, mając nadzieję, że Bóg litościwy nie odmówi nam swej opieki.« Ze łzami w oczach wybiegł, wymówisz te słowa.

Śmiała mowa Nałęczu rozgniewała nieco Starostę; lecz hamując gniew nagły:—»Piotrze! — rzekł do syna, — rozważ na drugi raz, o co wstawiać się winieneś; z niechęcią widzę, że ci brat starszy niemiły, że szukasz powodów, aby go oczernić w mem sercu; lecz kochany Zbigniewie, ty znasz miłość ojcowską.«

Chytry Zbigniew z udaną czułością zbliża się do brata i ściskając go z pełnem jadu przymileniem: — »Ach miły Piotrze! — rzekł — dla czegoż nie chcesz dzielić tej miłości, która serce braterskie ożywia? czemuż na twoją nieprzyjaźń zasłużyłem?«

Poznawał Piotr całą moc obłudy i chytróść brata; nie nie mówiąc, poglądał tylko z zadziwieniem na niego, a Starosta widząc tę obojętność w młodszym synie dla braterskiej czułości, przechylił szalę przywiązania swego na stronę Zbigniewa.

Wyszedł Piotr ze łzami w oczach do mieszkania swojego, a przekonany o niesłuszności brata i o dotkliwych cierpieniach Nałęczza, postanowił odwiedzić tego nieszczęśliwego starca, i jego stroskane pocieszyć serce.

Ze świtem nazajutrz wyjechał Piotr z zamku: był to ów dzień, w którym poznał Bronisławę; skłonność niedocieczona ciągnęła go mimowolnie ku Sobódce. Obdarzywszy na drodze ubogiego wieśniaka hojnym wsparciem, pytał się, czy nie wie nazwiska rodziny, która doznała nieszczęścia w czasie igrzysk w Sobódce. Odpowiedział wieśniak, iż wie, że młodzieniec zabity nazywał się Kaźmirz, że

ma siostrę Bronisławę i że oboje są dziećmi Zelisława, o którego zamieszkaniu nie wie. Traf szczęśliwy zaprowadził Piotra w miejsce, na którem zastał Bronisławę i na którem codziennie oglądał potem przedmiot ulubiony.

Nie posiadał się Zbigniew od złości, że nie miał pory zemszczenia się na Piotrze za obronę skrzywdzonego Nałęczu, czekał tylko chwili, los mu ją nadarzył. Nie uszło to jego oka, iż Piotr codziennie, czego przedtem nie zwykł czynić, przed wschodem słońca oddalał się z zamku; jednego razu, gdy krzywda wyrządzona niewinności zamknąć nie dała oczu przestępcy, wstaje równo ze świtem, spoziera oknem z wyniosłej baszty na Wisłę i okolice Sandomierza, i postrzega wyjeżdżającego Piotra, który równo z wiatrem oddalał się na dzielnym rumaku. Wziął natychmiast ubiór, rozkazuje podać sobie konia i zdala posuwa się za nim.

Piotr wjechał w las, co między Sandomierzem a Sobódką rozległą zajmował przestrzeń. Zbigniew dąży w jego ślady, przez krzewy, przez zarośla przedzierając się spiesźnie. Po godzinnej podróży zsiada Piotr z konia; uczynił toż samo Zbigniew, a przywiązawszy do drzewa niespokojne zwierzę, biegnie za bratem. Jakież było jego zadziwienie, jaka zazdrość, gdy ujrzał Piotra z piękną dziewczyną; poznaje ją, już wre w nim żądza, która po zapomnieniu odzywa się na nowo; chce wyjść z ukrycia, nie wahałby się nawet w przypadku oporu krwią braterską zboczyć rąk niegodziwych, lecz hamuje zajadłość, słucha z bliska i cieszy się zawczasie, że mu się nowe do zemsty i do zbrodni otwiera pole. Był to ów dzień, w którym ostatni raz widział się Piotr z Bronisławą, i w którym natchnąć go chciała wiarą swoją kochanka. Słyszał Zbigniew jej i jego słowa, sły-

szął, jak Piotr bez gniewu przyjmował obrażające wiarę chrześcijańską wyrazy Bronisławy, już niczego więcej nie pragnie; słyszy ich pożegnanie: oglądać się mają nazajutrz o wschodzie słońca; wstrząsł się od złości na tę obietnicę, wsiada na konia i czempędzej spieszy do Sandomierza.

Ledwie tam przybył, biegnie zaraz do ojca, opowiada co widział, co słyszał; tysiąc kłamliwych wyrazów wychodzi z ust oszczerey, oznajmił, że Piotr już pogańskimi zarażony błędy, dziewczynie nikezemnej poświęcił prawego Boga i świętą Jego religię.

Zadrzał Starosta na wiadomość, iż Piotr wiarę chrześcijańską pogardza, pilnie słucha Zbigniewa, który co chwila nowemi wymysły spotwarza niewinnego brata.

Wtem nadjechał Piotr: przywołano go natychmiast; nie spodziewając się niczego, staje spokojnie przed obliczem ojca.

Z zagniewaną twarzą, na której przebija się umartwienie, długo patrzy na niego Starosta.—»Piotrze!—rzecze po chwili milczenia, —ty jesteś bałwochwalcą!...« Dreszcz przeszedł na te słowa po całym ciele Piotra, nie poczuwa się do złego, a przecież niespokojność maluje się na jego twarzy.—»Ach! patrząc na ciebie,—rzekł dalej ojciec—widzę, że aż nadto pewną jest ta nieszczęśliwa wiadomość!...« Tu dopiero z zapalem wyrzucą mu na oczy zdarzenie, które brat jego odkrył; powtórzył Zbigniew kłamliwie wyrzeczone słowa Piotra do kochanej Bronisławy, bezczelny śmiał w oczy wyrzucać bratu, iż na kolanach przed kochanką poprzysiągł na zawsze pogardzać wiarą, w której się wychował, poprzysiągł wyrzec się szczytnego nazwiska chrześcianina.

Cóż Piotr cnotliwy uczuł, słysząc obelgi Zbigniewa? obrażony jego charakter wołał zemsty, lecz zemsty na bracie nie



mogło chcieć prawe serce; bojaźń nie o siebie, lecz o niewinną Bronisławę i jej rodzinę, szarpała z drugiej strony jego czułość; znał zaufanie ojca do Zbigniewa, znał chytróść Zbigniewa w dopełnieniu rozkazów ojcowskich. Rzucił się więc do nóg Starosty, który go odpycha od siebie. »Ojciec kochany!—zawołał,—nie znieważę nigdy świętokradztwem i nie znieważę imienia, które dziedzicę po tobie; jestem chrześcianinem takim jak byłem, takim, jakim na zawsze być pragnę! Pogańską dziewicę, wzór cnót i wdzięków, uwielbiało me serce; widziałem ją, ojciec, słyszałem głos jej niewinny, pociąg serca nieznanego mi dotąd prowadził mnie w zarosła tej puszczy, której ona jest ozdobą. Dziś, gdy patrząc na okryte gwiazdami niebo, przedwieczną rękę uwielbiała w prostocie, rzuciłem moje uwagi nad religią chrześcian, zachęcałem cnotliwą do porzucenia błędów, które niewinnie na-

pełniona jej dusza. Nie zdołałem stałej dziewicy odwieść od młodociannych wpojeń; jedno wspomnienie na ojca, którego wiarę czcila, zamknęło jej uszy; przestałem, zostawując czasowi przyprowadzenie na dobrą drogę tej cnotliwej poganki. Zarzuty, które nienawistny Zbigniew z tak śmiałem zadaje mi czołem, nie zhańbią mojego przekonania; wierzaj ojeze Kochany! widzisz syna niezmienionego, owszem widzisz go, jak z każdą chwilą pomnaża się w nim to uczucie czei ku wierze Chrystusa, która jedynem jego jest życiem!»

Tu dalej mówić zabronił mu Starosta. —»Piotrze, —rzekł—jesteś młody, łatwo zbłądzić możesz, lecz zepsuciu twojemu potrzeba skutecznie zaradzić. Zakazuję najmocniej wszelkiego związku z pogańskimi familiami; gdyby nawet nieznajoma, z którą widział cię brat, była chrześcianką, jakżeby cię zaślepiała szalona miłość dla przedmiotu, który nie jest ró-

wny tobie. Wypadki krajowe powołują do wojny; przeznaczyłem cię Piotrze na naczelnika chorągwi, która z Sandomierskiego Księstwa spieszy na boje, a tym sposobem oderwiesz się od zgubnego przedmiotu. Pod walecznym Bolesławem możesz wstawić swe imię i do dawnych zaszczytów, które ród nasz zdobył, dodać nowe wawrzyny. W tej godzinie masz być należycie uzbrojony i na świetną pośpieszyć wyprawę.«

—»A co się stanie z Bronisławą, z jej ojcem, z jej bratem?« — zawołał Piotr.

—»Posłuszeństwo rozkazom, jest twoim udziałem, resztę rozporządzi ojcowskie staranie.«

Oddalił się Piotr zasmucony, w obłąkaniu prawie, nie wie co się z nim dzieje. Rządca zamku prowadzi go do zbrojowni: hełny i pancerze, których przodkowie jego używali, wiszą zardzewiałe po ścianach ogromnej sali, połyskuje się stal na wy-

dętych puklerzach; miecze, które niegdyś o Kijowskie uderzały bramy, bierze dłoń młodego bohatera; na brzmiającej tarczy błyszczy złota podkowa i jastrząb z rozpostartymi skrzydłami, klejnot rodowity domu Krempów; szyszak z czystej stali już ciśnie skronie młodziana, którego duch przodków na widok pozostałych po nich pamiątek, ogniem nieustraszonej odwagi zapala, a którą osłabia wspomnienie: co z niewinną, co z nieszczęśliwą stanie się Bronisławą!...

Tymczasem wyprowadzono dzielnego arabskiego konia, suty rzed błyszczy od złota, a niespokojny zwierz silną ujęty ręką, pieniać się pod twardym wędzidłem, niecierpliwymi kształtnymi kopytami ryje pod sobą ziemię. Kilkudziesiąt z rycerstwa już gotowi do drogi, stali uszykowani na dziedzińcu zamkowym. Schodzi sam Starosta i fałszywy Zbigniew, na koniach towarzyszą młodemu wojownikowi-

wi. Odgłos trąby zapowiedział wyjście, słyhać tylko przerażający chrzęst zbroi i rżenie dzielnych rumaków; na przygotowanych promach przeprawiwszy się przez Wisłę, stanęli na równinach nabrzeżnych. Zsiadł z konia Starosta, uczynił toż samo Zbigniew i Piotr, któremu tysiąc przestroóg rozrzewniony daje ojciec, upomina o niezachwiane trwanie w wierze chrześcijańskiej, a rodzicielskie dawszy błogosławieństwo, całuje go ze łzami kilkakroć w głowę i spiesznie oddala się napowrót.

Naśladował ojca Zbigniew, a chociaż wyraźnie w oczach jego wyczytać można było ów uśmiech szyderski i oczywistą pogardę, oddalający się jednak Piotr wspomina o nieprzyjacielu, i najszezerzej żegna brata, którego kocha. Dobroć ojcowska ścisnęła jego serce: pierwszy raz pośpiesza na boje, z których więcej może nie powróci, chce więc jeszcze zbliżyć się do ojca, chce jeszcze raz powtórzyć tkliwe

pożegnanie, lecz bystre nurty Wisły, na których zdala widać odpływający statek, tamę czynią jego żądanom, a tak potrójnem dręczony oddaleniem: od ojca, kochanki i miejsce rodzinnych, smutny, z spuszczoneym hełmem, na czele rycerstwa pośpiesza do obozu.

Lecz wróćmy się do Błoniawki, nie-szczęśliwa! warta naszego wspomnienia. Ostatnie widzenie się z Piotrem nowe odkryło w tym szlachetnym młodzieńcu przymioty. Ta stałość duszy, ta łagodność w odpowiedziach, ta delikatność w zdaniach o pogańskiej religii, pomnożyły szacunek i miłość ku niemu; w przyjemnych zatopiona myślach biegła spokojna i wesola, aby w nieobecności kochanki pocieszyć się ojcem i bratem. Przeszła już połowę drogi, gdy na łące rozkosznej pod cieniem dębu postrzegła odpoczywającego Kaźmirza; na potok spadający z góry w poziome zarośle, obrócone były jego

oczy. Zbliżyła się niepostrzeżona: głębokie zamyślenie ponura jego twarz okazywała, i wtenczas dopiero wzniosł oczy na siostrę, kiedy już przed nim stanęła. — »Dla czegoż taka ponurość? Kochany Kaźmirzu; czyś ty nie słaby?«

— »Nie, siostró, czuję owszem wzmożone siły i dla tego wyszedłem dziś na przechadzkę.«

Lecz, mimo tego zaspokojenia, postrzegła Bronisława w oczach Kaźmirza skryte jakieś udręczenie, przeczuwała nawet powód onego, z otwartością więc rzecze: — »Nie Kaźmirzu, jakieś umartwienie trapić musi twe serce, dla czegoż nie chcesz go podzielić z kochającą cię siostrą?«

Westchnienie, które mimowolnie wydał młodzieniec, potwierdziło domysł Bronisławy; widoczne pomięszanie, które malowało się na jego twarzy i które uczuł w sobie, skłoniło go do odkrycia serca

swojego.—»Bronisławo! — rzekł, — czy pamiętasz ów nieszczęśliwy wieczór, w którym zaledwie grobu dla siebie nie znalazłem? czy pamiętasz tę przyjemną dziewczę, która nagrodę igrzysk z twoich rąk odebraną na głowę moją włożyć miała? Zapewnie ją pamiętasz, bo kogóżby nie uderzyła ta piękność z prostotą połączone? Widziałem i widzę ją aż dotąd przed moimi oczyma. Kochana Bronisławo! ty nie wiesz jeszcze, co to jest osobliwsza skłonność serca, będziesz kiedyś wiedziała o tem, a wtenczas poznasz, co to jest za udręczenie, widzieć i na zawsze z oczu utracić przedmiot ulubiony. Nie wiem kto ona była, nie wiem gdzie się znajduje, zostawiła tylko obraz swój w moim umyśle, a w sercu tęsknotę!...«

Zadziwiona Bronisława temi słowy Kaźmirza, — »czuję, — rzekła — czuję i ja co cierpisz, jaka dręczy cię boleść!... wzajemność wzajemnością odplacam... Wiedz-



że Kaźmirzu, że mi nie jest obce to uczucie, które ciebie nieszczęśliwym czyni.« Tu nie mogąc już zatrzymać tajemnicy serca, opowiedziała pierwiastkowe swoje uczucia, poznanie Piotra, tkliwą jego miłość, cnoty uderzające, i jak codziennie słodkie w towarzystwie jego przepędza chwile.

Z początku trwożliwe myśli i nagle zdziwienie przejęły umysł Kaźmirza; lecz gdy Bronisława w pełnych czułości wyrazach, które jej miłość podała, wystawiła bratu Piotra, gdy niewinne swoje opowiedziała rozrywki, zawczasie przejął się przywiązaniem do tego, który nad jego nieszczęściem łzę litości uronił. Ubolewając oboje, iż ojciec nie wiedział jeszcze czem ich serca pałały, postanowili jak najprędzej u nóg jego donieść o Piotrze, o jego dobrem sercu, i pokazać młodego chrześcianina, który nie jest ziomków swoich nieprzyjacielem; a dopóki do po-

wzięcia tej wiadomości przygotowanym nie będzie, miał Kaźmirz wspólnie z Bronisławą codziennie grób matki swojej odwiedzać, i z dobrym zaprzyjaźnić się Piotrem. W tych myślach i układał powrócili do domu, pocieszeni, iż ulżyli sobie ciężaru, jaki im sprawiało przytłumienie w sercu najczystszych uczuć.

Już drzewa gięły się pod obfitym owocem i w niewielu tylko miejscach bujały jeszcze po niwach dojrzałe kłosy prosa i pszenicy; w domowym ogrodzie zatrudniali się Kaźmirz i Bronisława zbieraniem dojrzałych owoców; przy słodkiej rozmowie ojca ulatywał czas nieskończenie; zeszedł nakoniec dzień przy pożytecznej i przyjemnej pracy. W myślach o jutrzejszej przechadzce, udali się do spoczynku młodzi miłością dręczeni; natężona uwaga zamknąć oka nie dała, czuwanie to osłabiło mdłego jeszcze Kaźmirza.

Weszła jutrzienka. Bronisława gotowa już do drogi, a on podnieść się nie może; wysiła się, wstaje, lecz drżące nogi kroku uczynić nie mogą. Przerażona siostra nagle brata osłabieniem, nie chce odejść od niego, woli pozabawić się rozkoszy oglądania Piotra; lecz Kazimirz zachęca ją do przechadzki, odkładając towarzyszenie swoje do zupełnego wyzdrowienia.

Po dwakroć ze łzami w oczach pożegnała go najczulej, ... wychodzi, ... miłość dziecienna zwraca ją, aby ujrzyć jeszcze kochanego ojca. Weszła do jego izby: w głębokim śnie zanurzony starzec, słabe wymawiał wyrazy, słucha Bronisława. — „Niewdzięczne dziecię, taka jest kara za nieufność ku rodzicom! —” te słowa, które okropnie zsiniałemi wargami uspioną wyrzekła dusza, przeszły jej serce. Patrzy, czy to nie na jawie wymawia uwiadomiony o jej miłośkach ojciec; lecz wzruszenie nagle po tych okropnych wy-

razach wstrząsnąwszy nieco ciałem Zeli-  
 sława, znowu go w cichej spokojności  
 zostawiło. Ocbłonęła biedna Bronisława  
 z przerażenia, bierze wiszący na ścianie  
 wielki srebrny medalion, który jej na  
 piersiach umierająca zostawić miała mat-  
 ka, kładzie go na szyję, aby widział Piotr  
 ten zabytek rodzicielskiego przywiązania,  
 i ucałowawszy zwieszoną rękę ojca, spie-  
 sznie się oddała... O Bronisławo! czemuż  
 nie zwrócisz jeszcze kroków swoich, aby  
 raz ostatni oglądać rodzinne siedlisko.

W kilka minut po odejściu Bronisławy  
 obudził się jej ojciec; cały zimnym obla-  
 ny potem, porywa zwierzchnią suknię  
 i bieży do izby, gdzie syn i córka spoczy-  
 wali.—»Gdzie Bronisława?—przestraszo-  
 nym pyta się głosem, — o Boże! co za  
 sen, miałażby być prawdą mara zwodni-  
 cza! gdzie Bronisława? «

—»Wyszła przed chwilą,« — odpowie  
 Kaźmirz zdziwiony.

—»Słuchaj Kaźmirzu! co za sen okropny przeraził moje zmysły: widziałem Bronisławę przechodzącą się po polach okolicznych, z smutną twarzą, z pełnem zgryzoty wyrażeniem; młody jakiś człowiek uzbrojony zbliżył się do niej, przy szlachetnej postaci łączył ponurość przerażającą. Zdawało mi się, że słyszałem ich rozmowę, z której z boleścią dowiedziałem się, iż to nie raz pierwszy spotykali się na tych niwach. Przeszyło to moje serce, iż córka, którą kocham, aż dotąd tała przedemną postępkami swojemi, gdy wtem blask jakiś uderzył mnie w oczy. Był to połysk pałasza; na ten widok biegnę ku miejscu, gdzie widziałem Bronisławę... o Boże! jakież widok!... nurzała się w krwi własnej, miecz utopiony sterczał jeszcze w jej piersiach!... Zadrzałem, czuję, żem zemdlął, i wtem przebudzam się z tego snu okropnego;

jakież aż dotąd wrażenie tkwi w moim umyśle! Gdzież tedy Bronisława?»

—»Poszła do mogiły kochanej matki naszej, — odpowie Kaźmirz, którego słowa ojcowskie wprawiły w zadumienie i bojaźń; — miałem jej towarzyszyć, lecz słabość zatrzymała mnie w domu.«

Uspokoił się na te słowa starzec. Wkrótce też wschodzące słońce przywoływało domowników do pracy, każdy przyjemnem zajęty był zatrudnieniem; minęło tak godzin kilka, a nie widać Bronisławy; słońce już na najwyższym punkcie nieba, Bronisława nie powraca jeszcze. Trwoży się ojciec, trwoży brat troskliwy; mimo słabości, niespokojny Kaźmirz wychodzi spiesźnie do miejsca, na którem spodziewa się znaleźć swą siostrę, aby z nią powrócić w objęcia oczekującego ojca. Stał u mogiły macierzyńskiej, lecz oprócz ponurego szelestu poruszonych od wichru gałęzi, nic więcej nie słysząc; woła,

wysła głos słaby, echo mu tylko odpowiada. Bieży za nim łatwowierny, lecz wszędzie z daleka własny głos po trzykroć się odbija i ginie w puszczech. Znużony, bez sił prawie, zmrokiem już powraca do domu.

Zaszedł mu drogę ojciec: — »A gdzie Bronisława?... siostry z tobą nie widzę!...« — te były tylko słowa nieszczęśliwego starca.

Siada nie mogący już ustać na nogach Kaźmirz. — »Ach kochany ojcze! — mówi przerywanym głosem, — wszędzie, wszędzie szukałem, gdzie tylko mogła być siostra, nigdzie jej nie znalazłem!...«

Sztylet nie mógłby mocniej przeszyć ojcowskiego serca, jak te słowa Kaźmirza. — »Więc mój sen nie jest marą, — mówi opuściwszy ręce, — więc już nie żyje córka moja! O Jesso nieśmiertelny! jakie są twoje niedościgłe wyroki! zesłałeś anioła swojego, aby nieszczęśliwego ojca

o zgonie córki zawiadomił; ach jakże niebezpieczna próba stałości w nieszczęściu!«

—»Tak ojcie!—rzecze znowu Kaźmirz, —widzę, że siła nadludzka wlała w twój umysł przeczucie, które niestety! aż nadto jest prawdziwe!«—Tu opowiedział, co słyszał wczoraj od Bronisławy, opowiedział po co wyszła przed wschodem słońca, i że młodzieniec, który ją kocha, jest Piotr Krempa, syn Starosty Sandomierskiego.«

Te słowa tak przeraziły starca, iż od zmysłów odszedł prawie; zsiniałe usta, język martwy słowa przemówić nie zdoła. Po chwili tego przesilenia i nieszczęścia, roziskrzyły się nagle oczy Zelisława:—  
»Tak, widziałem,—rzekł—jak w jej piersiach tkwiło mordercze żelazo, lecz to było tylko fałszywe wyobrażenie: to żelazo utopić miała w mojem sercu, niewdzięczna córka! tak, uciekła, uciekła zapewne z lubą osobą, porzuciła kocha-



jącego ojca, dla podłego zwodziciela porzuciła brata, porzuciła rodzinne progi, dla największego nieprzyjaciela swojej rodziny! Słuchaj Kaźmirzu! czas aby ci było wiadomo, co na zawsze w sobie tylko zachować miałem, aby próżnej nie obudzać nienawiści, czas aby cię uczynić mścicielem krzywd, które już podwakroć familia nasza od Krempów doznaje.«— Odetchnął z ciężkością starzec, ze zmarszczonego czoła starł krople zimnego potu. — »Synu! — rzecze, — kiedy jeszcze byłem w młodym wieku, i na polu chwwały dobijałem się o zaszczyty rycerskie, w jednejże rocie byli ze mną dwaj Kremowie: terażniejszy Starosta i brat jego. Nie wiązała nas przyjaźń, gdyż większe dostatki podsycaly ich dumę, i nie dały im z równemi sobie w urodzeniu jednoczyć się węzłami przyjacielskiemi. Po powrocie z wyprawy przeciw Masławowi, upodobałem sobie szlachetną dziewczę

Dobromirę z Strzemieńczyków; uszczęśliwiła życie moje ta zacna kobieta, matka wasza. Nie mieszkałem jeszcze w tych okolicach Sandomierza, w bliskości Wiślicy znaczne włości ojczyste uprawiałem z upodobaniem. Nie daleko mieli dobra swoje Krempowie i zamek obronny, a co niegdyś, gdy w jednych stawaliśmy szeregach, słowa do mnie wyrzec nie raczyli, powróciwszy z boju bardzo często odwiedzali nierównego sobie w bogactwach sąsiada. Nie mogłem dzieciec przyczyny tej zmiany, lecz wkrótce poznałem ją niestety! Jednego razu, gdy wyszedłem na polowanie z przyjaciółmi i sąsiady, nadjechał młodszy Krempa do domu mojego. Matka wasza, anioł w ludzkim ciele, najuprzejmiej przyjęła gościa, i z tą ludzkością, która Sławiańskie cechuje kobiety, starała się rozerwać i uprzyjemnić czas możliwemu sąsiadowi. Jakże się wyplacił niegodziwie! zostając sam na sam z mat-

ką waszą, śmiał jej oświadczyć miłość swoją, i znieważającemi poezciwą niewiastę prośbami chciał ją skłonić do złamania wiary małżeńskiej. Cnotliwa żona, dobra obywatelka, odrzuciła ze wzgardą obydne jego żądania, wyszła spieszenie i nie pokazała się więcej niebezpiecznemu znieważycielowi gościnności. Wyjechał on z domu mojego, powróciłem i ja z łowów. Kochana Dobromira opowiada mi z płaczem zniewagę swoją, chciałem zemścić się dostatecznie, lecz wspomnienie, jak gwałtowne a czasem mimowolne są ludzkie namiętności, wytrąciło mi z rąk szablę, którą postanowiłem ukarać zwodziciela; skończyło się na tem, iż wzbronilem im wstępu do domu mojego. Zdawało się, że już wszystko skończone; cztery lata minęły w rozkoszach, już cieszyłem się tobą Kaźmirzu, a spokojuności domowej żadna nie zakłóciła przygoda. Wtem waleczny nasz Król, zamysłając

uśmierzyć Prusaków, powołał mnie do szeregu obrońców swej sprawy. Uczucie honorowe wzięło przewagę nad uczuciem familijnem. Wśród trudów wojennych, które podejmowałem nad brzegami Sary, czy uwierzysz Kaźmirzu, czy uwierzysz, jaka zbrodnia na moje knowała się nie-szczęście! ach na wspomnienie, drżą jeszcze we mnie członki!... Niegodziwy Krempa, brat młodszy, korzysta z niebytności mojej, najeżdża dom, porwać każe jedyną moją małżonkę, uwozi ją zbrodniarz aby nasycił niegodziwą namiętność. Matka twoja była naówczas przy nadziei, nie wiedział o tem Krempa, gdyż podczas niebytności mojej na krok nie oddalała się z domu. Nagłe jej porwanie wśród ciemnej nocy, przestrah i wszelkie gwałtowne wzruszenia, przyspieszyły czas połogu; w zamku Krempów, wśród okropnych boleści, wyszła na świat Bronisława, w chwili, gdy matka jej prze-

niosła się do wieczności. Przerażony zgonem Dobromiry gwałcieciel, ciało jej napowrót odesłać rozkazał, jak i Bronisławę, która zaledwie znaki życia okazywała. Żona starszego Krempey, pani enotliwa i litościwa, nie mogła się opiekować tem nieszczęśliwem stworzeniem, gdyż sama także chorobą złożona, nie wiedziała nawet, jaki gwałt w domu jej męża popełniony został; kobieta, jedna z poddaneek moich, manką była Bronisławy, i jej to winna jest ta niewdzięczna córka utrzymanie swojego życia. Skoro tylko doszła mnie ta nieszczęśliwa wiadomość, pospieszyłem natychmiast rozpaczą przejęty do ojezystych włości; na widok mogiły, co okrywała ciało kochanej Dobromiry, ciało nieodżałowanej małżonki, poprzysięgłem na tejże mogile, iż pomścę się niewinnego jej morderstwa. Zajeżdżam do zamku Krempów, rozkazałem wywołać zabójcę mojej żony i przed bramą warowni

wyzywam go do boju. Krwawą odprawiliśmy utarczkę, a nim do rozbronienia nas nadeszła pomoc, już podły nieprzyjaciel wyzionął niegodziwego ducha. Po tym czynie, którym uczciłem popioły nieszczęśliwej małżonki, ściagała mnie znowu zemsta starszego brata, a ojca tego, który teraz nową zbrodnię stryjowskie przypomina mi postęпки. Krempa, śmiercią braterską rozjątrzony, z zebranemi przyjaciółmi najechał mój dom, spalił go, a ja was tylko oboje porwawszy na ramiona, uszedłem z rąk zawistnych. Po dwóch dniach podróży przybyłem w te okolice, za ochronione złote matki waszej ozdoby, nabyłem ten dom i włości przyległe, a w małym przeciągu czasu puściłem się sam w drogę, chcąc wiedzieć, co z moim dzieje się majątkiem. Przybywam skrycie, powiadają mi dawni moi domownicy, iż majątność moja Krempie na własność oddaną została. Łzy gorzkie puściły mi

się z oczu. Chciałem błagać o przebaczenie, lecz nie miałem nadziei otrzymania go. Wykopawszy więc zwłoki mojej małżonki, na własnych barkach zaniósłem je do najbliższej wioski, która odtąd była miejscem mojego pobytu. Poświęciłem się wychowaniu waszemu. Nie raz rzewnie płakałem, patrząc na was, pozbawionych majątku, matki, a niedługo może i ojca. Wkrótce Krempa zjednawszy sobie łaski króla, został Sandomierskim Starostą. Lękając się jego zemsty, nie dla siebie, lecz dla waszego oplakanego losu, w tem zaciszu, w tem jedynem dzieciństwie, zakopałem się niejako pośród podobnych do mnie mieszkańców, pomiędzy tymi, w których religii i obyczajach postrzegam prawdziwie Sławiańskie postęпки i cnoty. Lecz teraz czuję na nowo otworzoną ranę, ranę, którą tylko grób zagoi... Krew twoja, Kaźmirzu! którą wytoczył zbrodniarz, ta krew, która mnie

tyle łez, tyle udręczeń kosztowała, uwiedzenie niewinnej niegdyś mojej córki... wołają zemsty! Dokonam jej, przysięgam na popioły ukochanej małżonki!...« Wyrzekłszy to, bieży starzec w domowe progi.

—»Nie, nie tobie ojcze!—woła wstrzymując go płaczący Kaźmirz, — nie tobie należy być mścicielem; wiek twój podeszły, słaba i drżąca ręka nie zdolna ukarać zbrodniarza; ja to, synu za ojca, za matkę, za siostrę, ja winienem się pomścić; na mnie ciąży wina, wiedziałem o schadzce Bronisławy z Piotrem i nie zaufałem ojcu. Tak, kochany ojcze, ja, ja się pomszczę.«

—»O, nie! — zawoła z uczuciem starzec, — szkoda kwitnących lat twoich, jeszcze społeczność pyta się o ciebie, nie sprzeciwiaj się mojej woli, nie sprzeciwiaj się woli doświadczenia.«



W ponurem milczeniu zbliżyli się do domu, nieszczęśliwy ojciec, i syn nieszczęśliwy; bierze Zelisław zardzewiałą szablę, którą przed ośmiestu laty zmaczał w krwi Pomorzanów, przewiesza przez drżące ramiona, odzwyczajone od podobnego ciężaru; zaleca domownikom posłuszeństwo dla syna, mianuje go wiel przytomności jedynym swoim dziedzicem. Nikt nie miarkuje, co znaczyła ostatnia wola, boleją wszyscy z bolejącym panem, a raczej dobroczyńcą i przyjacielem. Tymczasem bierze Zelisław syna za rękę, żegna podwakroć wszystkich swoich podwładnych, powtarza raz jeszcze wolę swoją i oddala się z nim wśród nocnej pomroki. Noc była piękna: pomiędzy milionami błyszczących gwiazd na czystem niebie, półpierścieniowy księżyc słabe rzucił światło na lasy, góry i srebrnym smugiem przedzielone wody. Zbliżyli się do tyle razy wspomnionego

miejsca, to jest do mogiły, co kryła drogę dla Zelisława popioły. Tam stanąwszy, — »Mój kochany Kaźmirzu! — rzecze z rozrzewnieniem ojciec, — może to już raz ostatni przyeiskam cię do serca mojego, lecz taki jest los człowieka, koniecznem jest doczesne rozłączenie!... Jeżeli powrócę, powrócę pomszczony; jeżeli przeznaczenie inaczej zrządzi, uroń łzę nad nieszczęśliwym ojcem i czekaj żyjąc spokojnie i poezciwie, pokąd znowu śmierć nie złączy cię z nim na zawsze!... Unikaj zemsty zawistnych nieprzyjaciół... o srogię wspomnienie!... może nawet z tego skromnego domu, gdzie młodość twoją spędziłeś, wyrzucony zostaniesz; lecz nie trać nadziei... Bóg, opatrzny Bóg, nie opuści ciebie!... Jeżelibyś kiedy ujrział Bronisławę, powiedz jej, że o wszystkim zapomina ojciec, że życzy jej szczęśliwego pożycia i powrotu do enoty, i że błąd, który popełniła, więcej fałszywemu

zwoździelowi aniżeli jej przypisując. Niech wie, co to jest rodzina Krempów, niech wie, w jakie weszła związki. A ty, mój drogi synu, bywaj zdrów!... pamiętaj zawsze na rady moje, i na moją ostatnią wolę... Bywaj zdrów!...»

Tkliwe serca! wy wiecie, co to jest rozstanie się, a może rozstanie się na zawsze czulego rodzica z czułym synem, słów wam nie potrzeba. Ledwie zdołał skropić łzami żalu ręce ojcowskie omdlały Kaźmirz, ledwie błogosławieństwo, które z płaczem wyrzekł starzec, trzymając ręce na głowie syna, rozrzewniło go do stopnia najwyższej tkliwości, już ojca nie widzi.

Powstaje, woła: — »Raz jeszcze, raz ojcze drogi uściskaj nieszczęśliwego syna!« ponury tylko głos puszczyka, coby żelazne przeraził serce, odpowiada żalonym wyrzekaniom; a gdy biedny Kaźmirz tysiącem uciec miotany, oddalony

od ojca, od siostry, wspiera się osłabiony na pniu ściętego jaworu, pośpiesza Zelisław ku Sandomierzowi, miłość ojcowska i szlachetna zemsta, czułe serce i zbrodnią oburzony umysł, miotały jego chęciami. W siedemdziesiątym roku życia, żywość młodzieńcza kieruje jego kroki; ledwie świtać zaczęło, a już bramy zamku stają mu przed oczyma.

Po kilku chwilach odpoczynku, zbliża się do baszty, w której był wehód do warowni, sztuka o brzmiające stalowe podwoje, głos odźwiernego głucho odzywa się wewnątrz, który bada o przyczynę przyjścia. Pyta się Zelisław czy jest w zamku Piotr syn Starosty, lecz jakież jego zadziwienie, gdy się dowiaduje, iż do bojów przeznaczony w obozie, wśród rycerstwa przebywa. Nie pyta się Zelisław, jak dawno tam oddalił się, lecz gdzie jest obóz rozłożony; dokładnie opowiada odźwierny, któremu podziękowa-

wszy starzec, bez wahania udaje się nad Wisłę, przebywa na drugą stronę i dąży w miejsca wskazane. Zdala bielily się rozłożyste namioty, zdala błyskała świetna stal od ćwieżących się w turniejach rycerzy. Zbliża się Zelisław: pierwsza straż wstrzymuje go, on oświadcza, że do dowódczy pilna sprowadza go potrzeba. Doniesiono o tem Piotrowi. Ten cnotliwy młodzian, który żadnej nie opuszcza sposobności, by drugim mógł usłużyć, mniemając, iż pomocy jakiej żąda od niego nieszczęście, z uprzejmością wprowadzić rozkazuje starca. Było to w namiocie starościca, który najokazalej górował nad inne; kilkunastu młodych towarzyszków bawiło u niego. Na widok siwych włosów zrywa się młodzian, zbliża się do Zelisława, i uprzejmie wzięwszy go za rękę, pyta, czego by żądał.

Rozpaczający ojciec wszystko widzi w innych kolorach: powolność ujnującą,

bierze za nowy rodzaj podstępu, a grzechność za potajemną pogardę. — »Panie! mówi oziębło, — ważna rzecz sprowadza mnie do ciebie, rzecz, którą tobie tylko samemu wiedzieć należy.«

Piotr obraca się do przyjaciół i prosi aby go zostawili z staruszką. Wychodzą przytomni, młodzieniec o niczem złem nie myśli, niczego się nie lęka, bo czegoż lękać się może nieskażona cnota?...

Gdy już znajdowali się sami, groźną wówczas Zelisław przybrawszy postać: — »I czemuż, — rzecze z zapalem, — tak długo twarz twoja tai, co zbrodnicze wykonały ręce? czemuż raczej nie rozkażesz wydrzeć od razu życia nieszczęśliwemu ojcu, któremu wydarłeś spokojność?...« Na te słowa zdziwiony Piotr chciał odpowiedzieć; przerywa mu mowę Zelisław: »Milcz, słuchaj, czas będzie do odpowiedzi...« — Uraziły młodzieńca te słowa, lecz że umiał wstrzymywać namiętności,

nie nie mówiąc, patrzy z zadziwieniem na niego. — Znałeś, — rzecze znowu starzec, — córkę moją?... znałeś Bronisławę?... tak, znałeś, o! znałeś ją na moje nieszczęście! Gdzież ona jest? gdzież ją okrutnie zaprowadziły twoje ręce? Wczoraj wyszła widzieć się z tobą, niepomy na stan podszłego ojca, porwał ją z jego łona!... Lecz nie, ona jest występna, ona sama zezwoliła na to... występna, niegodziwa, a niekochać jej nie mogę!... Gdzież tedy ona jest? Piotrze! mów, pokaż nieszczęśliwemu ojcu drogę, aby ujrzał lubę swoje dziecię. Zemstę na prośby zamieniam, widzisz mnie klęczącego u nóg twoich, i jeszcze nie poruszają cię lzy pochylonego do grobu starca? —

Piotr, na tę szczególniejszą mowę od zmysłów prawie odchodzi. — „Ja znałem Bronisławę... widziałem ją... nie wiem gdzie ona jest, i co się ze mną dzieje —

te tylko słowa w pomieszaniu samowolnie wymawiały wargi.

—»Ty nie wiesz o mojej córce?— z gniewem zawoła Zelistaw, — »zbrodniarzu! co w młodych piersiach chowasz jad niegodziwości; nie, już nie zdołam znieść tej hańby, tej krzywdy! o Jesso! prowadź moją rękę!« Tu dobywa z brzęczącej pochwy zardzewiałego miecza, już płytkie ostrze drży nad głową niewinnego młodziana, chwila jedna, a Piotr przeniesie się na łono Boga!... Nie, Piotr żyć będzie! ten Bóg, co wlał w serca ludzkie zarodek cnoty, ten Bóg nie opuści niewinnego. Zamaszna szabla, rozpaczą wzmocnionego starca w samo czoło uderzyć miała młodziana, zwisła ręka wstrzymała się na samem uderzeniu; raz jeszcze wznosi się w górę żelazo, raz jeszcze spuszcza je na dół bez skutku Zelistaw. Siła jakaś ścisnęła mu serce, zdawało mu się, że słyszał głos w obłokach: »Nie roz-



lewaj krwi swojej!« Schował miecz do pochwy. —»O Boże! — uklękawszy zawołał, — obarczyłeś mnie nieszczęściami, a mściwego nie dałeś mi serca!... Zostawiam cię, — obracając się do Piotra, — zostawiam cię nieczule stworzenie, bez słusznej zemsty, bez należnej kary, zostawiam z wyrodną córką! odpowiecie przed Bogiem straszliwie za moją rozpacz, za łzy moje... Niech wspomnienie mojego udręczenia, niech zgryzota sumienia karą będzie twej zbrodni!«

Czułości podległe są wszystkie dusze: wojownik, którego blask szabli nie strasza, częstokroć na jedną wiadomość, która serce jego obchodzi, uroni łzę bóleści. Uważał Zelisław, że zwolna bladeść okrywała lice Piotra.... Upadł na ziemię przy ostatnich jego słowach. — »O jakże słabe są dusze zbrodniarzy! — zawołał patrząc na to, — nie drżałeś porywając mi córkę, drżysz i mdlejesz, gdy

miecz zemsty wisi nad tobą!... Podniósł z ziemi omdlałego młodzieńca, posadził w krześle, z pogardą raz jeszcze spojrzął na niego i spiesźnie się oddalił.

Południe było natenczas; prostopadłe promienie słońca nieznośne czyniły gorąco. Z pośpiechem odchodzi Zelisław od miejsca, na którem każdy przedmiot niewdzięczną wystawiał córkę i występnego gwałciciela. Nie udał się do Sandomierza, ale poniżej przeprawiwszy się przez Wisłę, dążył zamyślony do szczupłej swej dziedziny. — »Może ona jest niewinną, — myślał sobie, — może gwałtem porwał zwodziciel nieostrożną ofiarę. Boże! tobie to tylko samemu wiadomo, ty czuwaj nad tą sierotą!...« W tych myślach zbliżył się ku Sobódce, przechodzi przez łąki, otaczające jego włości; obłany potem, okryty kurzawą, z zapadłymi od trudów i zgryzoty oczyma, wchodzi do swego domu. Kaźmirz siedział podówczas

oparłszy się w oknie, które wychodziło na ogród; radosne głosy domowników, cieszących się z powrotu swojego pana, nie przerwały jego dumania; spogląda na niego ze łzami niewidziany ojciec.— »Biedne dziecko!—rzekł w sobie,—jakże gorzkie są początki twojego życia!...«

Na widok Zelislawa, jakoby z zachwycenia wyrwany Kaźmirz.— »Ach ojcze!... ty żyjesz jeszcze! — zawoła, i kropiąc łzami wywiedł ręce starca:—o! człowiek nie jest nieszczęśliwy!... nie może być nieszczęśliwy, kiedy jeszcze los nie wydarł go z łona rodziców!...«

Słowa te przejęły do gruntu serce Zelislawa; uściskał kochanego syna, opowiedział mu, jak ustąpiła zemsta tkliwości niedocieczonej, na którą nie zasłużył gwałciciel jego spokojności, jak więcej okazał żalu nad zbrodniarzem, który go skrzywdził osobiście, niż nad tysiącami nieznanym, a może najenotliwszym lu-

dzi, niegdyś na polu sławy; oświadczył, iż zamiarem jego jest spokojnie oczekiwać śmierci i jedynym cieszyć się synem, resztę zaś zostawić woli tego Boga, który o najdrobniejszym nie zapomni stworzeniu.

Domyślał się i Kaźmirz niewinności Bronisławy, nie sądził, aby tak łatwo było przejście z cnoty nieskażonej do najniegodziwszego występku; nie obwinił zupełnie i Piotra, którego tak pięknie wystawiała siostra, lecz wszystkie te domysły, które dzielił także strapiony ojciec, zamiast gojenia, jątrzyły zadaną ranę.

Nie wyszła godzina od powrotu Zeliśława, nie odpoczął jeszcze strudzony staruszek, gdy krzyk służących oznajmił, iż uzbrojeni ludzie otoczyli dom cały; nikt się nie domyślał przyczyny, gdy wchodził jeden z najeźdźców. — »Tu mieszka ojciec Bronisławy?« — groźnym przemawia głosem.

—»Widzisz go przed sobą, — rzeczę porywając się starzec, — gdzie jest ona?... gdzie jest ta córka nieszczęśliwego ojca?»

Nie słuchając nawet słów tych uzbrojony, —»Córka twoja starcze, — rzeczę z pogardą, — ważyła się syna tutejszego Starosty do porzucenia najświętszej wiary nakłaniać; obraza prawego Boga i zniewaga prawej religii powołują do zemsty. Precz ztąd bałwochwalcze! dom twój zniszczony zostanie.»

—»Nie, — odpowiada Zelisław, — raczej odbierzcie mi życie!»

Na głos zuchwałego najeźdźcy, wpadają towarzysze jego i wyrzucają omdlałego starca za próg domu! Wybiega za nim Kaźmirz, bierze go na ramiona, i uelodzi na grób matki, a zaledwie tam stanął, spostrzega dom swój w płomieniach. Ratuje Kaźmirz okrytego śmiertelną bladocią ojca i przywraca do życia, oblewając twarz jego wodą, z pobliskiej wyczer-

pniętą krynicy. Niestety! jakże smutny obraz przedstawił się oczom ożywionego starca! Łzy, ciężkie westchnienia i wyrzekania na srogość losu były jedyną ulgą starca.

Lecz nie długo mógł się tym uczuciom oddawać; powracający od mieszkania jego do Sandomierza oddział wojowników, przymusił ojca i syna do oddalenia się; zaledwie zdołali łez potokiem skropić grobowiec najdroższy ich sercu, uciekają do ościennego lasu. Coraz obszerniejsza otwiera się przed nimi puszcza; ostre ciernie wśród gęstych krzewów szarpia odzienie i ciała nieszczęśliwych. Noc się zbliżyła, osłabionego brakiem posiłku ojca, wspiera syn chwiejający się na nogach... Dalej już postąpić nie mogąc, siadają na murawie pod sosną niebotyczną; burza powstała, przy deszczu rześnistym gruchoczą pioruny pobliskie drzewa; strętwały Zelisław ciężkie wy-

daje westchnienia, cieszy go syn, któremu kraje się serce na widok nędzy ojcowskiej, drżąc sam od zimna, i zwyciężając powierzchownie ból nieznośny, którym otwarta na wilgoci dręczyła go rana; na ojca tylko patrzy i ojcowskie czuje cierpienia.

### III.

Na dworze Krempy był Wszebór, wysłużony dworak; w młodych latach Starosty już był na jego usługach, a przez powierzchowną wierność i przywiązanie tyle umiał sobie ująć serca pana, iż mu dozór nad dziećmi powierzono. Szczególniejsze powziął ku niemu przywiązanie Zbigniew, bo również najwięcej nad nim Wszebór okazywał starania; nieustannie byli z sobą, zawsze zgodni w zdaniach, a jednakowy charakter nierozzerwanymi



zrobił ich przyjaciółmi, gdy Zbigniew już do dojrzałego doszedł wieku.

Przeciwnie Piotr w oczach tego człowieka zawsze jakieś zbrodnicze upatrywał zamiary, przecież ukrywał swoje mniemania, a mimo tego nigdy Wszebór miłą na niego nie spojrzał twarzą. Słuszne miał Piotr domysły: był to jeden z tych niegodziwych zbrodniarzy, którzy mają trudny dar okrywania przestępstw maską poczciwości.

Z niego to Zbigniew wyczerpał ten jad, który rozlany był w jego sercu; rady starego przestępcy wpoły w młody umysł te chytre podstępny, tę powierzchowną ukladność, których teraz wyzuty z sumienia młodzieniec skutecznie na gnębienie niewinności używał. Nic bez jego rady nie czynił Zbigniew, nic nie uskutečnił bez jego pomocy. Skoro tylko ujrzał Bronisławę z Piotrem i żądza przytłumiona odezwala się na nowo, odkrył ją zau-

fanemu przyjacielowi, i jego rady zasięgnął, jakby zamysły swoje doprowadzić do skutku i jakby przestępny czyn ukryć przed światem.

Roziskrzyły się zapadłe oczy tej potwory, gdy Zbigniew wynurzył prośby swoje. Na zmarszczonych policzkach wiedzieć można było tę chęć chytrą, tę złośliwą radość, która przewrotnych ludzi cechuje, gdy niecne układają zamiary.

—»Mój Zbigniewie!—rzekł,—co tylko w mocy mojej będzie, co tylko zdołają działać słabe chęci dla twojego dobra, wszystko to przedsięwezmę.«

Jakoż on to doradził oddalenie Piotra na wyprawę wojenną, aby pod pozorem ocalenia od zepsucia, mógł go wystawić na niebezpieczeństwo śmierci, a sam łatwiejszą miał sposobność do uskutecznienia zbrodniczych swoich układów. Spodobała się ta rada Staroście, oddalono Piotra z domu ojcowskiego na niebezpieczną wy-

prawę. Skoro tylko ujrzał Wszebór skutek swojego podstępu, zgromadził natychmiast przemówionych ludzi, uwiadomiony od Zbigniewa, iż nazajutrz Bronisława widzieć się miała z Piotrem; w nocy jeszcze udał się na wskazane miejsce i tam oczekiwał na zdobycz pożądaną.

Bronisława włożywszy na piersi zdjęty z ściany medalion, dar i pamiątkę swej matki, z pełnem ukontentowania sercem biegła na umówione miejsce; zbliżyła się, stanęła, i według zwyczaju pierwszym spojrzeniem na mogiłę matki swojej uczciła jej popioły. Wtem wybiegają z zasadzek umówieni zbrodniarze, porywają na ręce, i na stojącym w pobliżności koniu uwożą nieszczęśliwą. Tak oddalona z pod straży pasterza owieczka, staje się łupem żarłocznej potwory!

Z początku, w gwałtownem zamięszaniu umysłu, nie wiedziała co się z nią dzieje; przychodzi wreszcie do siebie,

woła na tego który ją trzymał na swoim łonie, prosi ze łzami, aby jej nie oddalał z rodzinnego siedliska, lecz na nic nie odpowiada ponury jeździec. Miałżeby to Piotr, Piotr ulubiony, użyć takiej zbrodni, aby córkę, która mu zaufała, wyrwać z rąk ojca i brata?... nie, Bronisława przypuścić tego nie mogła do myśli; gorzkimi zalana łzami, -osłabiona gwałtownem wołaniem, które jej rozpacz z piersi wyriskała, z spuszczoną głową na łono drży w rękach swojego uwodziciela.

W godzinę podróży staje jeździec przed sterczącem w zaroślach puszczy zameczyskiem: poobalane baszty, porosłe krzewiem wierzchołki murów, niezamieszkaną okazywały budowę. Zsadzono ją z konia, zaprowadzono do gotyckich sal, w których oprócz olbrzymich okien, okrągłymi szybkami zapchanych, obicie oblatujących i starożytnych sprzętów, nic więcej widzieć nie można było. Dwie stare

kobiety przyjęły ją w tem odludnem więzieniu. Na wstępie pyta je z płaczem biedna Bronisława, gdzie i u kogo się znajduje.—»Nie bój się młoda pani, dowiesz się wkrótce o tem,«—to była odpowiedź jedyna, którą usłyszała od ponurych swoich towarzyszek. Targając z rozpaczyc długie swe włosy, wzywając opiekuńczego Bóstwa na ratunek, potokiem łez oblewa wybladłe lice, gdy tysiąc bolesnych uczuć ściśnione trapi serce.

Stare to w odludnych puszczech zamczysko, w którym osadzono Bronisławę, było własnością Zbigniewa; niegdyś był to gmach okazały i mieszkanie jednej z najdawniejszych familij, teraz schronienie nocnych puszczyków i kilku sług Zbigniewa siedlisko.

Niecierpliwy oglądania Bronisławy ten zepsuty młodzian, już się znajdował w zamku i tam oczekiwał na nowy łup swojej przemocy. Skoro tylko nieszczę-

śliwą ofiarę zaprowadzono do sali, przyszedł tam i on wkrótce.

Na pierwszy rzut oka poznała drżąca dziewczica, w czyich znajduje się rękach; obraz tego, który na niewinnego jej brata zabójczą podniósł rękę, wyryty był na zawsze w jej umyśle. Zadziwiona, przejęta bojaźnią i nienawiścią, na słowo jedno zdobyć się nie może.

Przerwał milczenie Zbigniew:—»Bronisławo,—rzekł,—daruj, jeżeli za gwałtowny wydaje ci się sposób, którym starałem zbliżyć cię do siebie: nie ja, twoje wdzięki temu są winne!«

—»Panie! — odezwie się po tych słowach nieszczęśliwa,—panie! co czynisz?.. cóż winnam, że mnie z łona rodzicielskiego wyrywasz?.. cóż winien ojciec mój nieszczęsny, że mu wydierasz córkę?... zlituj się!... jeżeli jaka iskierka ludzkości ożywia twe serce... jeżeli nie jesteś wyzuty z tych cnót, które człowiek mieć po-

winien... zlituj się panie! powróć mnie  
 ojcu... który może teraz w rozpacz,  
 przeklina niewinną córkę!... U nóg two-  
 ich, jeżeli tego żądasz, błagać będę...  
 powróć mnie ojcu!... powróć mnie moje-  
 mu ojcu!...»—Po tych słowach, które  
 głośny płacz zakończył, zakryła sobie  
 twarz rękami; wyrzekania, które rozpacz  
 podawała, w obszernej obijały się sali.

Stał Zbigniew zdaleka, dwakroć pięk-  
 niejsza zdawała mu się ta cnotliwa dzie-  
 wica; pierwszy raz w życiu, uczuł litość  
 w zatwardziałem sercu, łzy Bronisławy  
 przeszły jego duszę; wyszedł, słowa jej  
 nie odpowiedziawszy.

Noc następna była nocą najokro-  
 pniejszą dla Bronisławy, najwyższy sto-  
 pień rozpacz malował się na jej twarzy;  
 życie wydarłaby sobie zapewne, gdyby  
 pamięć na ojca, którego jeszcze kiedyś  
 widzieć spodziewała się, nie wstrzymała  
 jej ręki. Po całodziennem utrudzeniu, po

łzach obficie wylanych, zasnęła nieco na przygotowanym łożu; okropne mary stokroć przerywały jej sen: widziała ojca, widziała brata, z utopionemi w piersiach grotami; słowa niezrozumiałe wyrzywały się z ust zsiniałych, a widok ten, któremu przytomny był Zbigniew, tak go przeraził, iż wyrzucając sobie słabość i zniewieściałość w uleganiu niechęci jednej niewiasty, wyszedł do swojej komnaty.

Pokilkakroć pokazywał się nazajutrz Bronisławie, lecz ta na jego widok drżała ze wstrętu, bladość okrywała jej policzki i tysiąc wyrzekąń miotając na swojego tyrana, ze wzgardą od niego odwracała oczy. Radził się przebiegłego Wszebora, coby mu czynić należało. — »Gwałt, — odpowie z szyderskim uśmiechem zbrodniarz, — jest jedynem na upór lekarstwem.« Byłby go użył bezwątpienia Zbigniew, lecz teraz coś więcej czuł dla Bronisławy, jak popęd młodego wieku: litość nad jej



stanem, której nie znał nigdy, pokazała się przecież w zepsutej duszy; tak więc nie wiedząc jak sobie postąpić, postanowił używać cierpliwości, pokądby upor nie przewyciężyła. Próżne były obietnice wolności, próżne łudzenie przyszłym szczęściem, łzami tylko na wszystko odpowiadała Bronisława. Tak skała granitu odbija bałwany rozhukanego morza.

Tymczasem Wszebór udał się do Sandomierza, a przekładając Staroście, ile cierpi wiara chrześcijańska, iż tak zatwardziały poganin, jakim jest ojciec Bronisławy, obcowaniem swoim zaraża drugich, uzyskał z trudnością pozwolenie, iżby go albo do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, albo do oddalenia się z okolic Sandomierza przymusił.

Na czele kilku uzbrojonych służalców udał się do domu Zelistawa; chciwy grabieży, nie pyta się nawet, czy chce zostać Chrześcianinem, spalił dom, złupił

dobytki, i cnotliwego obywatela z własnej wyrzucić rozkazał dziedziny. Po tym haniebnym czynie doniósł Staroście, iż uporeczywy starzec gardząc prawą religią, wolał ze wzgardą odstąpić swojej własności, jak przyjąć zbawienne rady; a nasyciwszy i dzikie swoje serce i łakomstwo niepohamowane, powrócił do Zbigniewa, który przepędzał czas w zamku, co był Bronisławy więzieniem. Przybywszy do tego odludnego siedliska, pierwsze pytanie, które zadał ulubionemu wychowawcowi, było: czy uporna pogan-ka uległa jego urodzie i jego mocy.

—»Mój kochany Wszeborze! — odpowiedział Zbigniew, — nie wiem co za odmiana stała się we mnie, jeszcze nigdy w mych chęciach nie doznawałem podobnego oporu, i nigdy powolniejszym dla niego nie byłem. Bronisława, ta szczególniejsza dziewica, w zaciętości swojej sto razy staje się miłszą, jej upór po-

maża we mnie uszanowanie dla jej niewinności, a jeżeli twoja rada nie wesprze mnie w tym względzie, mój Wszeborze, kto wie czy nie odstąpię mego zamiaru i nie wrócę ojcu tego, czego sam z spokojnością posiadać nie mogę.»

—»Rozumiem, — odpowie z złośliwym uśmiechem Wszebór, — miłość cię zaślepia, ta miłość, od której uchronić cię pragnąłem, rozmaitością mając tve serce, ta miłość, która cię robi zniewieściałym i niegodnym przeznaczenia, jakie ci los gotuje. Zbigniewie! przytłum weześnie ten ogień, który cię uczynić może nieszczęśliwym i niewolnikiem jednej kobiety. Po co to ociąganie się? jesteś panem Bronisławy, masz ją w swych rękach, czegoż moc niedokaże? a udana odraza zniknie, skoro ją raz pierwszy przewyciężysz.»

Podziękował Zbigniew swojemu drugiemu ojcu i postanowił słuchać rady jego; lecz pierwszy widok łez Bronisławy zni-

weczył niecne przedsięwzięcie; popęd miłości prawdziwej to ma do siebie, iż wydziera człowieka występkom i poryweze wstrzymuje namiętności. W przyjemnych słowach zaczął wystawiać niewinnej pogance miłość swoją, a widząc ją nieporuszoną, obiecał nawet wyjednać sobie u ojca pozwolenie wejścia z nią w śluby małżeńskie, byle mu była wzajemną i religię chrześcijańską przyjęła. Wystawiał jej, iż nie powinna mieć nawet nadziei widzenia kiedykolwiek Piotra lub swojej rodziny, jeżeli płomieńmi jego dłużej pogardzać będzie.

Na wszystkie te przełożenia płaczem odpowiadała Bronisława; wyznała, że Piotra tylko kocha, że Piotra na zawsze kochać pragnie, i że już życiem pogardza więziona niewinnie i oddalona od najdroższych osób. Tak po kilkakrotnych i groźbach i naleganiach, zawsze lży niewinno-

ści nad zapalem Zbigniewa odniosły zwycięstwo.

Minęło tak dni kilka; i jeździł do ojca i powracał z Sandomierza Zbigniew, lecz żadnej odmiany stały umysł Bronisławy nie pokazywał; zawsze z zapłakanymi oczyma przykre dni pędziła w odludnem swoim więzieniu!

Wtem wysłany goniec od Bolesława, tego to walecznego Króla, któremu naród nadał imię Śmiałego, przybył do Sandomierza. Rozkazał Monarcha jaknajspieszniej jedną jeszcze uzbroić chorągiew, i przewodztwo nad nią Zbigniewowi starszemu synowi Starosty poruczył. Oznajmił mu to natychmiast ojciec: zaczęto uzbrajać ściągnione rycerstwo, a Zbigniew przymuszony do oddalenia się, nie mając gdzie schronić bezpiecznie zdobyczy, postanowił odesłać ją do dóbr swoich niedaleko Wiślicy, które mu ojciec w nadgrodeń jego pobożności przeznaczył, spo-

dziewając się, że czas wykorzeniwszy miłość dla Piotra, zrobi mu łatwiejszy przystęp do jej serca. Jakoż przez najwierniejszych słuźalców, których Wszebór uznał za godnych zaufania, biedną tę dziewczicę dziesiątego dnia po jej porwaniu wysłał do przeznaczonego miejsca. Tak tedy nowem udęczone umartwieniem, oddaliła się daleko od miejsc rodzinnych, godna lepszego losu Bronisława!

Tymczasem spiesznie szło uzbrojenie; w kilka dni już wszystko gotowe było do drogi. Ukochanego syna płaczący ojciec odprowadza o dwie mile i najczulsze daje błogosławieństwo temu, który raczej przekłęstwa był godzien. Z udaną rozpaczą pożegnał Zbigniew ojca, którego wcale niekochał, i w towarzystwie ulubionego Wszebora puścił się ku miejscu, gdzie wszystkie wojska z Królem złączyć się miały, ciesząc się, że będzie mógł

widzieć żale Piotra po oddaleniu od kochanki, której on już był panem.

Piotr smętne przepędzał chwile od widzenia Zelisława w swoim namiocie w obozach Sandomierskich; zemdłał na nieszczęśliwą wiadomość o porwaniu kochanki i na wyrzuty jej ojca. Uderzyła go szlachetność starca, lzy jego przenikły młodzieńczą duszę, upadł bez zmysłów. Otrzeźwiony od towarzyszków, każe szukać Zelisława drogą do Sandomierza prowadzącą, aby się mógł wytłómaczyć i dać mu sposoby odebrania nieszczęśliwej córki z rąk brata, którego to dziełem sądził być porwanie Bronisławy. Nadaremnie szukano, starzec inną drogą poniżej Sandomierza dążył do swojej dziedziny, do której po to tylko miał przybyć, aby go niegodziwe Wszehora ręce za progi właściwego domu wyrzuciły. Chciał Piotr wrócić się do Sandomierza, chciał błagać ojca, aby nie pozwolił krzywdzić

niewinnej rodziny, gdy rozkaz Króla niezwłocznie nakazał przyspieszenie marszu do głównego zebrania rycerstwa w księstwie Halickiem. Nie mógł uchybić rozkazowi Monarchy, przez wzgląd na ojca posiadającego szczególniejsze względy u dworu; napisał tylko czuły list do niego, użalił się na gwałt, którego dopuścił się Zbigniew, wyrywając z rąk ojcowskich Bronisławę, i zaklinał na Boga, aby bronił krzywdy niewinnych.

Odebrał list ten w nieprzytomności ojca Zbigniew, i zniszczywszy sprawiedliwe pismo, nową zemstę gotował dla Piotra, który, Boga opiece powierzywszy w gorącej modlitwie nieszczęśliwą Bronisławę i jej rodzinę, udał się z rycerstwem w miejsce wskazane.

Ciągnęły waleczne rotty na północ. Tam Król z znaczną częścią rycerstwa oczekiwał na świeże posiłki. Wszesław książę Płocki targnął się na Izaśława Izaśławi-



cza ksiąźęcia Kijowskiego, i zmusił go do oddalenia się ze stolicy. Bolesław, do którego ten pokrzywdzony ksiąźę udał się o pomoc, przyjął stronę Izaśława i powziął zamiar przywrócić mu mitrę ksiąźęcą. Zaledwie się zbliżyło wojsko do granicy, przyłączyli się do niego Zbigniew i Piotr z rycerstwem, któremu przywodziłi. Przyjął ich łaskawie Monarcha, a dostateczne mając siły do rozpoczęcia wojny, wyruszył na wyprawę. Spiesznie postępowały półki i wkrótce okazały się przed niemi niebotyczne wieże Kijowa. Żądał Bolesław poddania, nie przystali na to Kijowianie. Czyniono zatem spiesznie przygotowania do szturm; opasano ze wsząd miasto. Czasowe potyczki, które były poprzednikami krwawego boju, niekiedy tylko otwierały rycerstwu pole do śławy; postanowiono nakoniec przypuścić szturm do obronnego grodu. Miało to nastąpić w nocy; przez cały dzień poprzedni

układano sposoby łatwego zdobycia twierdzy, a Zbigniew z Wszeborem namyślali się, jakby przy sposobnej porze zgubić nienawistnego Piotra. Młodzieniec ten nie-szczęśliwy, obojętnem okiem patrzył na bliskie niebezpieczeństwo boju; prócz ojca nie go do życia nie wiązało, odosobniony od wszystkich, żył niejako sam w sobie, w rozpaczce po utracie Bronisławy, i oczekiwał spokojnie chwili, w której albo się okryje wawrzynami, albo polegnie z chwałą.

Nadeszła noc, która miała rozstrzygnąć los Kijowa. Rusini, nie chcąc narażać miasta na zniszczenie, uprzedzili Polaków niespodziewaną wycieczką. Na odgłos trąb i kotłów, chorągwie polskie zbliżyły się. Średni hufiec, któremu sam Bolesław przodkował, uderzył na ruskie szeregi, i po dzielnym ich oporze, zmusił je do cofnięcia się.

Zbigniew z chytrym Wszeborem upatrują pory, w którejby odważnego Piotra na niebezpieczeństwo narazić. Podjazd nieprzyjacielski zbliżył się do wzgórza, którego strzegło rycerstwo Sandomierskie; pobudza Zbigniew brata, aby pierwszy rozpoczął walkę, i sam przyrzeka dzielnie uderzyć na tył nieprzyjaciela.

Niepodejrzliwy Piotr, co drżał z niecierpliwości na wspomnienie boju, korzysta z pory, naciera i gromi. Pierwszy raz w krwawej utarczce znajdował się ten młody wojownik; wspomnienie na ojca, przed którym miał stanąć chwałą okryty, dodawało odwagi młodzieńcowi. W tłumie pomieszanego rycerstwa toruje sobie drogę, i z walecznymi towarzyszami naciera na cofających się nieprzyjaciół. Wkrótce możeby przechylił Piotr na swoją stronę szalę zwycięstwa, gdy nowy hufiec przybywa na pomoc przeciwnikom i zmienia postać rzeczy.

Widzi to Zbigniew, lecz ani myśli o udzieleniu pomocy bratu; samo rycerstwo żąda iść do boju, widząc rodaków w niebezpieczeństwie, lecz zabrania Zbigniew powagą dowódcy i zawczasie cieszy się, przewidując zgon brata.

Zbliżenie się posiłków ruskich nie zraziło mężstwa Piotra; daje znak aby przybywał Zbigniew i wspólną podzielił się zwycięstwa chwałą; waleczy do ostatka garstka rycerzy, a otoczona w około, albo grób, albo haniebną niewolę wybrać musi. Poznaje wtedy Piotr zdradę brata. Ten barbarzyński postępek, i żal po utracie ukochanej Bronisławy, tylko powiększają w nim zapał; z rozpaczą uderza na tłum, łamie otaczający go okrąg, i z czterema towarzyszami uchodzi z miejsca, gdzie już reszta wojowników krwią swoją zmoczyła ziemię. Pędzi za nim kilkudziesiąt Rusinów, towarzyszący mu rycerze byli już pod razami nieprzyjaciół, już miała

wybić ostatnia godzina godnego litości Piotra, gdy jeszcze trzech z jego roty pospiesza mu na pomoc. Krwawa toczy się walka, w której swe ocalenie winien Piotr jednemu z przybyłych wojowników. Młodzian ten własną piersią zasłonił swego wodza, i wstrzymawszy swoim puklerzem grot w niego wymierzony, upadł osłabiony ranami. Rozczulony tem młody Krempa, bierze na konia wybawcę swego i spiesznie do chorągwi brata swojego przybywa.

Świadek waleczności jego Zbigniew, wścieka się, widząc go przy życiu; dzieli te uczucia przytomny Wszebór, nowe w zbrodnicznym umyśle czyniąc układy.

Piotr zajęty jedynie swoim obrońcą, nie wyrzucił nawet nieczulemu bratu zdrazieckiego czynu; kazał opatrzyć jego rany, żadne nie zagrażało niebezpieczeństwo, a zatamowanie krwi przywróciło mu nieco siły. Cieszył się Krempa, że

serce ciągle dręczone nieszczęściem, będzie mógł wylać wdzięczności.

Po wielu z obu stron wysileniach, szala zwycięstwa przechyliła się koło wieczora na stronę Bolesława. Rycerstwo polskie szemrało na stratę wielu ludzi, której przyczyną stał się Zbigniew, nie udzieliwszy własnemu bratu pomocy; lecz postępek ten nie doszedł uszu Monarchy, wiedział tylko Bolesław o waleczności Piotra, i wynagrodził go swemi względami; a zaszczyt ten bratu okazany, nowym był bodźcem do nienawiści ku niemu Zbigniewa.

Orły polskie zbliżyły się do Kijowa, samo imię Bolesława zdolne było zatrwożyć mieszkańców i pozostałą osadę, oraz otworzyć mu bramy tego grodu. Wszedłszy do Kijowa Bolesław, po zapewnieniu Izaśławowi posiadania stolicy, postanowił dla ugruntowania porządku, zabawić w niej kilka miesięcy. Rozłożono leże

wkoło potężnego grodu; oddziały wojsk udały się w głąb kraju, dla zapewnienia spokojności, a Zbigniew z Piotrem przy boku królewskim pozostali.

Od chwili krwawej walki pod Kijowem, zajęty Piotr obrońcą swojego życia, z nim tylko przepędzał chwile tęskliwe. Skoro tylko osłabionego wniesiono do namiotu, zapytał się o nazwisko i miejsce urodzenia.

—»Jestem Bogdan Nałęcz, — odpowie młodzieniec, — urodziłem się w bliskości Sandomierza, w Samborcu, co wśród puszczy na wyniosłej leży górze.«

—»Więc ty jesteś tą ofiarą, którą brat mój poświęcił swojej zemście? czy to ciebie broniącego porwania siostry, rozkazał wyrzucić z łona podszłego ojca?«

Tu Piotr opowiedział mu zdarzenie swoje pod murami zamku Sandomierskiego, opowiedział starania ojca o sprawiedliwość, a lekko tylko namieniwszy o pomocy której mu udzielił, dodał, jakiego

Zbigniew użył przebiegu, aby gwałtowi nadać pozór gorliwości o wiarę.

Podziękował mu czule Bogdan za litość, którą okazał nad ojcem. — »Zacny ryce-rzu!—rzekł dalej—czułem krzywdę, jaką mi brat twój wyrządził, czułem, boleść, która mojego ojca dręczyła, zapewne miałbym nawet powód nienawidzić Zbi-gniewa, lecz dla ciebie od pierwszego widoku uczułem przywiązanie. Ta wspa-niałość bez dumy, to uniżenie bez podło-ści, wierząc panie! zjednały ci we mnie przyjaciela, o którym nie wiedziałeś; szczęśliwy! że miałem sposobność okaza-zania, jak szanuję twe cnoty i jak je sza-nować należy.«

Uściskał Piotr swojego obrońcę, wdzię-czność zamieniła się wkrótce w najszczer-szą przyjaźń; dwaj młodzieńcy, jednego charakteru, jednej dobroci, nigdy nieroz-dzielni, osładzali wzajemnie gorzkie swo-je wspomnienia. Obadwa oddaleni od ro-



dziny, obadwaj pocieszać się umieli. W przyjacielskich rozmowach wspomniat raz młody Krempa o miłości.

—»O mój Piotrze!— rzekł natenczas Bogdan,—czułem ja i czuję aż dotąd, eo to jest ta skłonność serca najmilsza; bez nadziei kocham, a przecież kocham anioła, którego raz tylko widziałem, a którego zawsze mam przed oczyma... O gdybyś widział Bronisławę!...«

—»Bronisławę?...—rzekł Piotr z zadziwieniem,—imię, które i ja uwielbiam... lecz twoja Bronisława szczęśliwsza zapewnie!... cieszy się na łonie rodzicielskiem... Gdy moja!...« to wspomnienie wycisnęło mu łzy z oczu.

Umilkł Bogdan, nie chcąc jątrzyć rany przyjaciela, i nie mówiono już więcej o przedmiocie, który tak nieprzyjemne wrażenia sprawił na ich umysłach.

Minęło przeszło dwa miesiące, późna jesień zbieliła ziemię śniegami, i ranne

przymrozki blizką zapowiadały zimę. Czas już był do powrotu w kraje ojczyste; zasmakował waleczny Król w miękkości, powaby pięknych Kijowianek ujęły jego serce, a co niegdyś w rycerskich szeregach ćwiczył czynny Monarcha rycerskie orszaki, teraz w gronie białogłów tonął w rozkoszach i rozpuście. Nie mieli do niego przystępu osiwiali pod hełmem wodzowie, lubieżna młodzież towarzyszyła królowi, którego cień tylko pozostał. Umiał Zbigniew korzystać z pory i z swoich haniebnych przymiotów: coraz nowe piękności sprowadzał przed oblicze Króla, coraz nowemi zabawy rozweselał umysł zniewieściały i pierwszym Monarchy stał się powiernikiem. Patrzył Piotr z żalnością na błędy Króla i na podłe usługi swojego brata; z Bogdanem spojony nierozzerwanym węzłem przyjaźni, na jego łonie szukał pociechy.

Głośnie skargi słychać było w obozach; nie oglądano Króla, nie wymierzano sprawiedliwości, ten tylko otrzymywał łaski, kto podłym nałożnicom płaszczyć się umiał; zgoła i bliskiego zniszczenia od czekających tylko pory Kijowian, i haniebnego upadku sławy narodowej spodziewać się należało. Piotr i wszyscy dobrze myślący nie pokazywali się u dworu Króla, lecz pilnie pełniąc obowiązki swoje, czuwali nad bezpieczeństwem tych, co zatopieni w myślach nie wiedzieli o sobie.

Wtem smutne z Polski nadeszły wieści: pozostawione w domach żony i córki wojowników, podczas niebytności mężów i ojców za ich przykładem oddały się rozpuście; znieważone łoża małżeńskie przez podłych służalców, gwałtem porywane dziewczęta przez lubieżnych młodzieńców, zatrwały spokojność będącego pod Kijowem rycerstwa. Wołano głośnie o po-

wrót do kraju, gdzie nieobecność Króla pole otworzyła bezprawiom, zagrożono odejściem bez pozwolenia Monarchy; lecz Bolesław surowe tylko postanowiwszy na oddalających się kary, szedł bez powrotu w głąb tej przepaści, która go pochłonąć miała.

Bogdan pod opieką swego przyjaciela został rotmistrzem w chorągwi jego, bezpieczeństwo w okolicach Kijowa powierzone mu było, gdyż łupiestwa po gościńcach i lasach wymagały tej ostrożności. Jednego dnia, jadąc rano z kilku przyjaciółmi przez okoliczną puszczy, postrzeżono na drodze pojazd, który straż królewska otaczała; przejeżdżając mimo niego, płacz kobiety usłyszał tkliwy Bogdan; wiedział z boleścią, iż to zapewne nowa ofiara, którą na łup Bolesławowi może z łona rodziców porwana. Nie wahał on się, gdzie szło o ratunek nieszczęśliwych; zbliżywszy się do pojazdu pyta, kogoby

wieziono, i kto śmie łązy wyciskać bezbronnej kobiecie? — »Ach panie!... ratuj nieszczęśliwą!...« odezwał się głos z zamkniętego powozu. — Te słowa zapaliły Bogdana. — »Puście gwałciciele nieprawą zdobycz! — zawołał, — albo życiem przyplaciecie zbrodnię!«

— »Pomnij rycerzu! — odezwał się jeden ze straży, — pomnij, że królewskiej własności gwałt wyrządzić zamýślasz; pomnij, że jesteśmy w stanie oddania cię w ręce sprawiedliwości, jako znieważającego Monarchę.«

— »Słuszność jest pierwsza! — zawołał Bogdan; — towarzysze, nie dajcie krzywdzić niewinności!« To mówiąc, uderzył na najpierwszego z uwozicieli, przyjaciele poszli w jego ślady, krwawa zaszła utarczka, czterech położyło na placu dzielne Bogdana ramię, rozpierzchnęła się trwożliwa tłuścieza, a szlachetny młodzian, cięty tylko w lewą rękę, odniósł

zwycięstwo i wydarł niewinność przemocy. Lała się krew jego strumieniem, nie zważa na to, zbliża się do powozu, zdiera okrycie... o Boże!... cóż widzi?... widzi Bronisławę, tę boską dziewicę, dla której rzucił się w płomienie podczas igrzysk w Sobódce. Wychodzi ta nieszczęśliwa, pada na kolana, dziękuje swojemu wybawcy, krew jego lejąca się potokiem rozrzewnia nieprzywykłą do bojów; wszyscy stanęli omamieni temi wdziękami, których ani niewola, ani umartwienia nie zatarły. Zdiera Bronisława z siebie białą tuwalę, prosi rycerza, aby mogła obwiązać mu ranę, obwiązuje... o jakąż rozkosz uczuł wtenczas cnotliwy Bogdan!... Widzi że go nie poznała, nie więcej nie mówi, lecz wprowadziwszy wyrwaną kochankę z rąk przemocy do powozu, obęd drogą spieszy w znajome sobie miejsca, aby uniknąć spotkania się z powracają-

cemi zapewne z posiłkiem służalcami królewskimi.

Był niedaleko Kijowa wiejski dom wśród lasu pobliskiego, mieszkała w nim rodzina, której przodkowie za Chrobrego jeszcze osiedli w tem miejscu. Pocziwych tych ludzi poznawszy Piotr, najprzyjemniejsze chwile przepędzał wśród ziomek urodzonych na obcej ziemi; tam w chwilach wolnych, z ulubionym Bogdanem o zwyczajach sławiańskich i religii ojców rozmawiali z upodobaniem, a oddaleni od zepsucia dworskiego, kosztowali słodyczy, którą cnota czerpa w samej sobie. Lubo ranny przymrozek ścisnął nieco ziemię, wznoszące się jednak słońce na pogodnem niebie ogrzewać zaczęło żywioty. Piotr przechadzał się przed skromnym domkiem, zanurzony w myślach o ojcu i kochance; wtem zajeżdża spiesznie powóz, biegnie przed nim wesoly Bogdan, zbliża się do Piotra...—»Przyja-

cielu! — zawoła, — jakże jestem szczęśliwy!... pójdź... podziel ze mną radość!...« Zbliżają się do powozu, dziewczica wychodzi z niego, jakież widok!... jakież zadziwienie Bogdana!... Widzi Bronisławę, jak po przeraźliwym wykrzyknieniu rzuca się w objęcia Piotra, potok łez radosnych płynie po licach tych kochanków, tysiące zapytań razem z ust obojga wychodzą.

Odrywa się z ciężkością Piotr od najukochańszej osoby. — »O Bogdanie! — zawoła ściskając go, — jakże to los zrządził!... jakież zdarzenie... czyni cię moim dobroczyńcą!... Ocaliłeś mi życie z niebezpieczeństwem własnego, nadajesz mi teraz nowe, gdyś wrócił cel tego życia!... już nic więcej nie pragnę, ... już dopełniona miara szczęścia!... Jakże człowiek niesprawiedliwym jest względem Boga, narzekając na jego zrządzenia, w chwili gdy mu największe gotuje szczęście!...



Struchlał Bogdan widząc Bronisławę w objęciach Piotra, widzi już zamknięte przed sobą serce, za któreby życie swoje zamienił. Przyjaciół kochany, nierozrywany towarzysz, uwielbia i posiada miłość tej, która od pierwszego widzenia ujęła młodzieńcze serce. Nie pojmuje z kądem się znają, obraz niewinnej w prostym ubiorze, w jakim ją widział w czasie igrzysk na wzgórzach Sobódki, tkwi jeszcze w umyśle; lecz zatrwać szczęście towarzysza, chcieć ujmować serce, które już posiadał Piotr, nie był do tego zdolny słodki charakter Bogdana. Kochał Bronisławę bez porównania, kochał nad wszystko przyjaciela! tłumi w sobie żarzący się ogień, i cały oddany przyjaźni, szczęście Piotra ma tylko na celu. Poprzysiął w duszy, patrząc na rozczułające powitanie rozdzielonych kochanków, zakryć przynajmniej na zawsze w swych piersiach to uczucie, którego zniszczyć nie

zdoła; wziął pod rękę Bronisławę, osłabionej pomaga wejść do domku, gdzieby przed nowemi gwałty schronienie mieć mogła.

Była to Bronisława, ta Bronisława, którą Bogdan widział podczas igrzysk w Sobódce, która zajęła serce jego, dla której odważył się na śmiałe przedsięwzięcie przeskoczenia płonącego stosu. Najazd synów starosty rozdzielił zebranych mieszkańców; Sobódka i Samborzec są w przeciwnych stronach Sandomierza, odległość miejsca, niewiadomość pobytu i nazwiska, nie dały więcej widzieć pięknej dziewczicy, wyobrażenie jej w duszy pozostało na zawsze. Powrócił do Samboreca wraz z siostrą, z którą znajdował się na religijnej zabawie, tęskliwe prowadząc życie, pokąd Zbigniew nie poświęcił go swojej zemście. Ta to była Bronisława, którą z Piotrem najtkliwsza wiązała przyjaźń i którą pod jego imie-

niem porwano z ojcowskiej zagrody. Opowiedziała kochankowi, w przytomności Bogdana, porwanie swoje przez Wszeborę, doznane napaści i stałość w tak nieszczęśliwych zdarzeniach; opowiedziała, jak przewieziona z pod Sandomierza w ponure okolice Wisłicy, samotne w odludnym zamku przepędzała chwile, gorzkie łzy wylewając. Dowiedział się nakoniec drżący na jej słowa młodzian, iż przed sześcioma dniami wsadzona do powozu, w spiesznej dnie i nocą podróży, bez wiadomości gdzie i po co jest więziona, w rzewliwym tylko płaczu znajdowała pociechę. Wybladłe lice, które lekki tylko ożywiał rumieniec, oczy zapadłe od łez, widocznymi były świadkami jej cierpienia. Domyślił się zaraz układów Wszebora Piotr, i uwiadomił o nich Bronisławę; sądził on nieplonnie, iż ten zbrodniarz nie mogąc posiadać wzajemności tej, którą zdawał się kochać przeznaczył ją

zapewne zniewieściałemu Monarsza, aby rosnąc w zaszczyty i potęgę, rósł w przestępstwa i zbrodnie. Zadrżała Bronisława, wspomniawszy, iż dostać się miała w ręce Króla, w ręce nieprzełamanej przemocy; stokroć dziękowała Bogdanowi, stokroć Piotr patrząc na zranioną rękę przyjaciela, ścisnął z rozrzewnieniem dobroczyńcę swojego, nie wiedząc, że w nim rywala znajduje.

Bogdan usłyszawszy zdarzenia Piotra i Bronisławy, ich pierwiastkowe poznanie się, ich miłość niewinną, ani przypuścił, ani chciał przypuścić do myśli, aby być w nadziei ujęcia sobie tej, dla której coraz większem pałał przywiązaniem.

—»Mój kochany Bogdanie!— rzekł mu Piotr po chwili, — czemuż ty nie jesteś szczęśliwym z posiadania tego co kochasz, z ochotą podzieliłbym rozkosze, których doznaję, ażeby ciebie oglądać szczęśliwym!...«

Cóż sobie pomyślił Bogdan na te słowa? Już chciał odkryć przyjacielowi swoje serce i chęć oddalenia się od niego, aby nie być wrogiem spokojności; lecz znając przywiązanie Piotra, wiedząc jaki-by cios zadał jego tkliwej duszy, zamilkł, nie zazdrościł mu szczęścia, chociaż go pragnął najżywiej, a ta walka miłości z przyjaźnią, namiętności z rozsądkiem, miała ten skutek, iż przytłumiony ogień tem więcej dręczył serce Bogdana.

Ostrożność przemyślać kazała, jakby zabezpieczyć Bronisławę od nowych napaści. Niepłonnie sądził Piotr, iż Bolesław śledzić nakaze tych, którzy śmieli wydrzeć jemu przeznaczoną ofiarę; domyślał się, iż Zbigniew rzuci na niego przed królem podejrzenie, zatem że kochanka nie była w tem miejscu bezpieczną. Jedynym środkiem schronienia przed zawistnemi, było jej oddalenie z niebezpiecznych okolic. Zbliżył się Piotr do Bogdana, który

pomieszanie swoje starał się ukryć.—  
Drogi przyjacielu!—rzekł ze szczerością,  
—widzisz jak ma niebezpieczne schronie-  
nie ta, która szczęście, życia mojego sta-  
nowi, wiesz zapewne jak nieszczęsna  
byłaby dola tej dziewicy, gdyby Król do-  
szedł jej ukrycia. Bogdanie! prosi cię  
przyjaciel, abyś mu najważniejszą uczy-  
nił przysługę, abyś ubezpieczył Bronisła-  
wę. Jesteś nieznany Królowi, nie będzie  
cię ścigać mściwa jego ręka, gdy się od-  
dalisz z pułków, które i tak wkrótce ze  
wstydem odstąpić muszą zpod murów  
Kijowa. Powraca wielu z rycerstwa do  
ojczyzny, odjeżdżaj i ty spieszenie, weź  
z sobą i Bronisławę w rycerską przy-  
odzianą zbroję, odprowadź ją do swojego  
domu, uwiadom jej rodzica, i stań się  
nas obojga nowym dobroczyńcą!... Po-  
wierzam ci ten drogi skarb, bo znam  
twoją duszę, powierzam ci ją, jako jedy-  
nemu, który dzielić umie moje czucia,

troski i rozkosze. Sam uczyniłbym z ochotą, czego żądałam od ciebie, lecz zważ, iż mam ojca, którego łaska króla wspiera; nie dla siebie, lecz dla tego to kochanego ojca znajduję się przy zepsutym Królu, i dla niego pozostać jeszcze muszę. Idź więc!... oddal się, biorąc z sobą jedyną życia mojego pociechę. Ujrzysz mnie wkrótce na twojem łonie w ojcowskiej zagrodzie. O Bogdanie kochany! pierwszy raz w życiu tak ważnej łaski żądam od ciebie!...

W jak przykrem znajdował się położeniu Nałęcz! Odprowadzać do domu własnego najukochańszą osobę, pomnażać jej przytomnością miłość swoją a nie zdradzić zaufania przyjaciela, trudne to zaiste ofiary; lecz kto zna przyjaźń prawdziwą, kto kiedy kosztował tej rzadkiej rozkoszy, nie zadziwi się, że Bogdan nie odmówił żądaniom Piotra; serce jego, chcące oderwać się od Bronisławy, czuło

przecież pociechę, iż przynajmniej chwil kilka cieszyć się będzie celem swoim. Nie odkładano przedsięwzięcia, przystała dziewczica na jedyny sposób ratunku, wybawiciel jej z niewoli godzin był zaufania; lekka zbroja przyodziewa nieprzywykłe do ciężaru takiego członki, błyszczący szyszak okrył długie wijące się włosy, a młoda bohaterka, po najczulszem pożegnaniu, dwakroć wydarłszy się z rąk Piotra, pod strażą jadącego na dzielnym rumaku swojego towarzysza, oddała się z oczu kochanka w tym samym pojeździe, w którym z więzienia swojego wywieziona była. Patrzył długo smutny młodzian za swojemi przyjaciółmi, pokąd nie zniknęli w zaroślach puszczy.

Przyspieszono jazdę; na schyłku dnia już daleko od Kijowa znajdowali się nasi podróżni, spotykano oddalających się rycerzy, którzy o niewierności żon i sromocie córek powziąwszy wiadomość, po-



spieszali odzyskać swoje prawa, i pomścić się wyrządzonej zniewagi, a po kilkodniowej dnie i nocą podróży, przebyli granice ojczyste. Jakiż widok!... spalone wioski kurzą się jeszcze, wszędzie widać ślady gwałtów, które okropnego bezrządu były skutkiem. W nieprzytomności Króla i mężów oddalonych na wyprawę, powziąwszy wiadomość zostawione żony o zbytkach, których mężowie dopuszczali się w Kijowie, w nowe powchodziły związki, jedne z służalcami, inne nawet z własnymi poddanymi. Nie chcieli odstąpić zdobyczy polubieńcy żon zostawionych, z orężem w ręku odzyskiwali mężowie swe prawa, śmiercią karząc znieważycieli swoich i splodzone w ich niebytności niemowlęta; wśród takich to zaburzeń, wśród tak smutnych widoków, zbliżali się podróżni nasi do Sandomierskiego Księstwa.

Lecz zostawiliśmy Zelisława wraz z osłabionym Kazimierzem w dzikich zaroślach puszczy, gdy chciwy grabieży Wszebór wypędził ich z własnego domu. Zimno po deszczu rześistym skureczyło członki przemokłego starca, otwarta rana w głowie Kazimierza najdotkliwsze sprawiała mu boleści. Minęła noc, słońce zeszło na wypogodzonym niebie, ogrzany zimny starzec postępuje za prowadzącym go synem, wodą z czystej krynicy odżywili osłabione siły, i bez zamiaru dążyli, gdzie łatwiejsze znajdowało się przejście. Cały dzień przeszedł na tej unuzającej podróży, bez posiłku ciała, zranione cierpieniem nogi... nieszczęśliwy los ludzi cnotliwych!... Rozpacza czuły syn, widząc ciężko dobywający się oddech z piersi ojcowskiej; obłąkanemi oczyma pogląda litośnie starzec na dziecię swoje, ... stanął... dalej postąpić już nie zdoła!... Bierze go Kazimierz na ramiona, spieszenie

dąży, a łzy ojcowskie, spadające na jego głowę, tysiąc błogosławieństw zlewały na cnotliwego młodzieńca. Bóg, co patrzy na serca ludzkie, nie opuścił tych nieszczęśliwych: po chwili rozrzędzając się zaczęła puszcza, ujrzał uradowany Kazimierz na wzgórzu otoczonym drzewami skromny dom, zbliża się, wszędzie uderza go czystość i porządek.

Na widok przychodnia, który niesie podeszłego starca, wychodzi gospodarz domu, pyta o przyczynę przyjścia. Położywszy Kazimierz osłabionego ojca na murawie, w krótkości opowiada nieszczęścia swoje. Pobiegł spiesznie gościnnie gospodarz domu po pomoc, nalano mleka w usta Zelisława; posilony tym pokarmem omdlały od głodu i trudu starzec, stokroć dziękuje za ratunek i prosi o kilkodniowe schronienie.

— Nieszczęśliwi ludzie! — uprzejmy zawołał gospodarz, — pójdźcie, podzielę

się z wami tym szczupłym dobytkiem który posiadam... nie ma już sprawiedliwości na świecie!... Dopókiż zbrodniarski dom Krempów dopuszczać się będzie gwałtownych czynów?... Wiedźcie nieszczęśliwi bracia moi, że i mnie dosięgła przemoc tego niegodziwego rodu. Jestem Nałęcz; ten sam syn Starosty, który jest przyczyną waszego nieszczęścia, ten sam pozabawił mnie syna, broniącego siostry od jego napaści. Ukarze Bóg tych przestępców, co okryci świętością religii, nasyć się nie mogą dręczeniem drugich.»

—Tu opowiedział człowiek ten poczciwy, jakim sposobem utracił syna, jak za pomocą jednego z cnotliwych rycerzy samemu Staroście krzywdę swoją przełożył, lecz jako poganin, nie uzyskał sprawiedliwości. Wszyscy byli w mniemaniu, iż to Piotr, którego wyjawiała Kazimierzowi Bronisława, był tym biczem niewinności, wszyscy brzydzili się Piotrem, biorąc go

za zbrodniarza, gdy on tym czasem był wzorem enoty.

Gospodarz, który przyjął do siebie Zelisława z synem, był to ów Nałęcz, którego Piotr pod murami Sandomierskiego zamku znalazłszy, sam zaprowadził do Starosty, i którego syn Bogdan na wyprawę Ruską z ojcowskiej wyrwany był dziedziny. Przejęty nieszczęściem drugich, którego sam doświadczał, rozkosz znajdował osładzając los bliźniego. Zaprosił gości do domu: skromna córka, siedmnastoletnia Wanda, postawiła na stół świeże masło, chleb i piękne owoce; prostota nie była skażona powierzchowną gościnnością, co serce czuło, to usta wyrażały.

Lecz jakież zadziwienie Kazimierza, jakie wzruszenie jego serca, gdy w Wandzie poznaje dziewczycę, która otrzymaną nagrodę na igrzyskach w Sobódce kładła na jego głowę. Najwyższy stopień ra-

dości na jego malował się twarzy; poznali go Wanda i Nałęcz, którzy wraz z Bogdanem na świętej znajdowali się zabawie. Rana, niezagojona jeszcze na jego czole, obudziła wspomnienie niegodziwego postępu najeźdźców. Roniła łzy dziewczica po pięknych licach, był to balsam, który strapione serce Kazimierza wydarł smutkom i udręczeniom.

Po kilku-dniowym pobycie, ojcowską miłością pokochał Nałęcz młodzieńca; spokojny charakter, łagodny sposób myślenia, ujęły jego serce. Kazimierz był naturalnie rozsądny, w zabawach wiejskich wesoły, uprzejmy w każdym zdarzeniu; nienawidził wojny, uważał ją za hańbę ludzi, i dla tego nigdy nie myślił sposobić się do bojów, w spokojnem życiu wiejskiem prawdziwe upatrując szczęście. Zdawało się Nałęczowi, że widzi swojego Bogdana, jakoż syna własnego nie mógłby lepiej miłować, jak mi-

łował Kazimierza.—»Moi przyjaciele!— rzekł jednego razu do ojca i syna, gdy rozmawiali o dalszym swoim losie,— gdzież udać się myślicie?... Wiek twój, kochany Zelisławie, wymaga spoczynku, syn oddalać się od ciebie nie może, zostańcie razem ze mną, zostańcie w tem spokojnem ustroniu!... Nie znajdziecie tu wprawdzie wspaniałych pomieszczeń i wytwornych zbytków, lecz tem, co mi Bóg udzielił, najchętniej rozłamię się z wami, a jeżeli wam miła spokojność, jeżeli smakujecie w szczeroci i prostocie, połączmy się tak nierozdzielną przyjaźnią, jak jest nieodmienna w nas wiara ojców naszych!«

— Nie odmówił Zelisław temu żądaniu Nałęczu; gdzież się miał udać, gdzież się spodziewał pomocy i wsparcia?... Podziękował mu czule i postanowił tu oczekiwać, pokaż go Bóg nie powoła do szczęśliwszego życia. Odtąd Kazimierz z każ-

dym dniem miłszym się stawał Nałęczowi, wyręczał go w gospodarskich staraniach, a dobry ten starzec, pozbawiony syna i bez nadziei już oglądania go kiedy, cieszył się, że przynajmniej obraz jego poczciwości oglądał w tym młodzieńcu.

Wanda nie obojętnie patrzyła na przybranego brata, enotliwe serca nie są dalekie od czystej przyjaźni; widząc ich oboje przy pracy lub zabawie, rzekłbyś, że brata i siostrę oglądasz. Uprzedzało jedno żądanie drugiego, żyło niejako jedno w drugim, a pierwiastkowa ta tkliwość, przez którą w Wandzie widział Kazimierz Bronisławę, a ona w nim Bogdana, przepowiadała, iż kiedyś na szczęście obu ojców złączą się serca młodociane nierozzerwanym węzłem małżeńskim.

Tak w tem zaciszu, przy zatrudnieniach przyjemnych, kilka upłynęło miesięcy; zebrano zboża w stodoły, na drze-



wach nieco tylko pożółkłych liści szron rannych przymrozków okrywał. Wspominał często ze łzami w oczach Zelisław swoją córkę, na wspomnienie Bogdana zasępiła się czoło Nałęczka, a jedyne nadzieje w pozostałych dzieciach pokładając bliscy grobu ojcowie, staraniom nad dalszem kształceniem ich serc nieskazonych wszystkie chwile poświęcali.

Zbliżały się już czasy, w których Stwórca najmniej oświecać ziemię słońcu pozwolił, przeszedł pogodny dzień przy ostrym przymrozku. Zebrane dwie familie i domownicy, słuchając powieści starców zatrudniali się robotą; ogień płonący na kominku ogrzewał młodych, a dzban starego miodu rozweselał myśli ich ojców. Widno jeszcze było przez obmarzłe okna, któremi zachodzącego słońca czerwone promienie żegnały pocziwych tych ludzi, gdy postrzeżono

wchodzących na dziedziniec dwóch uzbrojonych rycerzy.

—»Cóż to ma znaczyć?—rzekł Nałęcz, —czy znowu Krempa i w tem ustroniu szukać zamyśla ofiar dla siebie?...« Wychodzi przed dom, czyni to samo Zeliśław i domownicy. Zbliżyli się rycerze, spuszczone przyłbice zakrywały ich oblicza. Zkądby byli i czego żądają, zapytał gospodarz.

—»Powracamy z wyprawy Kijowskiej, —odezwał się jeden, — dążymy do domów naszych, noc się zbliża, prosimy o gościnność.«

—»Z ochotą przyjmuję was do domu mojego,—rzekł znowu Nałęcz,—pójdźcie, lecz wprzód zaspokójdziecie ciekawość nieszczęśliwego ojca: czy czasem nie był wam znany Bogdan Nałęcz?...«

—»Przy moich nogach padł pod razem śmiertelnym,«—rzekł rycerz przytłumionym głosem.

—»O Boże!—zawołał starzec, — więc i nadzieję, ostatnią pociechę, odbieracie mojemu sercu!...«

—»W rycerskich szeregach zginął syn twój walecznie,—odezwał się słysząc tę wiadomość Zelisław... — Otrzyj więc łzy przyjaciela!... wspomnij na los mój trzykroć nieszczęśliwszy... zdradzony... opuszczony od córki, którą kochałem...« dalej słowa wymówić nie mógł.

Uważano, iż na głos Zelisława chwiać się zaczął milczący dotąd rycerz, a wydarłszy jakiś głos z piersi, upadł po chwili na ziemię. Poskoczył Kazimierz na ratunek, otoczyli wszyscy zemdłonego, zdejmują mu młodzieniec przyłbicę...—  
»Co widzę!... — zawoła odstąpiwszy,— Bronisława!... ojeze! Bronisława!...« Szyzak spadł z głowy, długimi włosy wionął wiatr lekki... Ośłupiał Zelisław, rzucono się do ratunku w chwili, gdy odkrywwszy twarz Bogdan, upadł do nóg łzy

roniącego ojca. Co za tkliwy widok! nie pytania o dziwne przypadki, najtkliwsze uściski widzieć się tylko dały. Zapomniał Zelisław o mniemanem przestępstwie córki, całuje otrzeźwioną, która u nóg jego omdlewa z radości; wszystkie uczucia zdziwienia i szczęścia malują się na twarzach przytomnych; takie to były pierwsze chwile wzruszenia!

Weszli wszyscy do domu; rozplywa się z radości Zelisław, gdy w przytomności wszystkich domowników dowiadyje się o niewinności córki, gdy Piotra widzi najenotliwszym, gdy dzikiego Zbigniewa widzi sprawcą wszystkich swoich nieszczęść. Dzięki czyni niebu za szczęśliwe wyrwanie z rąk drapieżnych niewinnej ofiary, po stokroć dziękuje Bogdanowi, a w odesłaniu Bronisławy nowy przykład cnoty Piotra postrzega. Pomnożyła się nienawiść dla Zbigniewa, a szacunek i wdzięczność dla Piotra, gdy Bogdan

sam wyznał, że Zbigniew porwać go rozkazał i że tym młodzieńcem, który dał ratunek ojcu i który zaprowadził go do Starosty i oskarżył gwałciciela, był Piotr cnotliwy. Tak w jednej chwili zdarta została zasłona, która pokrywała dotąd zdarzenia: uwielbiano Piotra, oddano sprawiedliwości Boga niehumanego Zbigniewa, a Zelisław, widząc córkę swą niewinną, widząc jej cnotę i stałość, nie pragnął już nic więcej, chciałby życie zakończyć w tej chwili, boby je w najwyższym szczęściu zakończył.

Zapłakała Bronisława, dowiedziawszy się o zgryzotach ojca i o wyrzuceniu go z własnego domu, zbrodnie Zbigniewa powiększały w jej oczach cnotę Piotra.—  
»O mój ojcie!— rzekła,— jakież srogi los starość twoją uciska! owoc tyloletniej pracy, szczupłą posiadłość, chciwe wydarły ręce. Widziałeś córkę twą występna!... widziałeś ją porzucającą bez żalu

rodzinne prógi!... o Boże! Piotr, najcenniejszy z ludzi, stał się w oczach twoich zbrodniarzem! ojcze kochany! czuję udręczenie twoje!...»

Powszechna radość panowała w domu Nałęcza; szczegółowe zdarzenia, które Bogdan i Bronisława opowiadali, wszystkich zajmowały uwagę. Piotr był miły Zelisławowi, jako cnotliwy młodzian, czystą miłością wielbiący jego córkę, Piotra szanował Nałęcz jako swojego dobroczyńcę i przyjaciela Bogdana; a po kilku dniach, które sama radość cechowała, dwie rodziny uciskane jedną niejako składały rodzinę. Postanowiono nie rozdzielać się nigdy. Bronisława i Wanda, wzajemną związane przyjaźnią, zajmować się miały i wyręczać żonę Nałęcza w gospodarstwie domowym, Kazimierz i Bogdan uprawą roli trudnić się postanowili, zostawiając dwom ojcom jednej

przyjacielskiej rodziny odpoczynek i cieszenie się szczęściem dzieci.

Tak upływały chwile dla wszystkich wesole, prócz Bogdana i Bronisławy; niespodziewane spotkanie ojca uszczęśliwiało wprawdzie tę dziewczę, lecz bojaźń o Piotra, który od nienawistnego brata w każdej chwili narażony był na zgubę, zatruwało jej godziny; miłość Bogdana dla niej pomnażała się z dniem każdym, coraz więcej wdzięków, coraz nowe cnoty odkrywał w tej zacnej dziewczycy; lecz przywiązanie do przyjaciela, powierzającego mu skarb jedyny, tłumilo jego zapał; milezący zawsze, ani słowem, ani czynem, nie dał poznać swoich uczuć. Zdrowie jego niknęło zwolna; powziął myśl oddalić się na zawsze od tej, którą uwielbiał, a której wzajemności posiadać nie mógł; lecz miałże się oddalić od ojca i nową zgryzotą zatruć jego życie?... Nie, Bogdan wołał cierpieć, wołał grób zna-

Jeść z udręczenia, niżeli przestąpić prawa, któremi go miłość dla ojca i przywiązanie dla przyjaciela wiązały.

Minęła zima, piękne dni wiosny uśmiechać się zaczęły zlodowaciałej ziemi, czyniono już przygotowania do nowych zasiewów; żadna odmiana nie zaszła w domu Nałęczu, uważano tylko, iż jedna z najstarszych domownic, podeszła Bożena, często patrząc na Bronisławę, której zdarzenia słyszała, roniła łzy potajemnie. Pytano jej o przyczynę, zawsze odpowiadała, iż nieszczęścia tej niewinnej dziewczicy rozdzierały jej serce... Prawdę mówiła!... rozdzierały jej serce nieszczęścia Bronisławy, o których sama tylko wiedziała!...

Krempa, w tęsknocie po synach, którzy, jak już słychać było, wkrótce z bezbożnym Królem powrócić mieli do Krakowa, przepędzał czas na polowaniu; przyjemny dzień wiosenny wywołał go jedne-



go razu w puszcze Samborskie. Oddalony, goniąc za uciekającym żubrem, od dworu swojego, napróżno odgłosem trąbki chciał do zgubionych zbliżyć się służalców, w innej stronie puszczy szukali oni swojego pana. Znużony Starosta spieszenie przedzierał się przez zarośla na koniu i losem zbliżył się do miejsca, gdzie się wznosił skromny domek Nałęcz. Ucieszony tem zdarzeniem, przyjeżdża do zagrody, zsiada z konia, i przywiązawszy go do drzewa, wchodzi do mieszkania. Wszyscy byli zgromadzeni w jednej izbie, czas wieczery nadchodził, gdyż słońce niedalekie już było zachodu. Za pierwszym rzutem oka poznał Nałęcz Starostę; ten wszedłszy:—»Przyjaciele! —rzecze, — czy daleko ztąd do Sandomierza?... zbłąkawszy się na polowaniu, nie wiem gdzie jestem.«

Odpowiedział dostatecznie Nałęcz na pytanie i proszącemu o napój nieznanome-

mu, Bronisława spiesznie czarę świeżego mleka przyniosła; twarz zacnego przychodnia ujęła ją szczególnie, podaje mu ze skromnością naczynie.

—»Cóż ja widzę?... zkąd to masz?... —rzekł Krempa, wpatrując się w medalion wiszący na jej piersiach, — zkąd to masz, nadobna panienko?«

—»To ostatnia pamiątka, którą mi umierająca zostawiła matka, — odpowiedziała przyjemnym okryta rumieńcem.

—»Matka twoja zostawiła?... tak, nie mylę się,... to wyobrażenie mojej żony... lecz zkąd matka twoja ten medalion otrzymała?...

—»Zkąd?...« — podczas tych słów, z podziwieniem wszystkich rzuciła się do nóg Starosty siedząca na ustroniu Bożena.— »Panie! — mówi z płaczem... — nie poznajesz mnie?... nie poznajesz twojej sługi?«

Wpatruje się w nią Starosta, twarz znajomą postrzega.—»Tak, Bożena,— rzecze zwolna, — czy się nie mylę?... ty jesteś Bożena, nieodstępna towarzyszka mojej żony?... więc tedy od ciebie ta dziewica otrzymała ten medal, który na pamiątkę mego z nią połączenia był wybity?»

—»Nie, posłuchaj panie, rzecz wielkiej wagi mam dziś wyjawić; widok Bronisławy, tego nieszczęśliwego dziecięcia, już nieraz wyciskał mi łzy gorzkie, za długo tałam,... niech sprawiedliwość wymierzy na mnie karę za należenie do zbrodni,... uściskaj swoją córkę!...«  
Wszyscy stoją zdumieni, nikt słowa nie przemawia.— »Przypominasz sobie panie! mówi nabrawszy się Bożena, — jak żona twoja była dla mnie łaskawą, przypominasz sobie, jak obdarzywszy mnie łaskami, raczej przyjaciółką jak panią moją była... Zdradziłam ją... za jej dobroć od-

płaciłam niewdzięcznością! Był na twoim dworze ten chytry przestępca, który już zapewne nie żyje, bo nie wiem czy Bóg mógłby go ścierpieć między ludźmi, był Wszebór twoim sługą. Kochałam go, w jego zbrodniach upatrywałam enoty, byłam współniczką jego niegodziwości. Zostawała w połogu żona twoja panie, gdy ujęty wdziękami małżonki oddalonego na boje Zelisława, którego zapewne przypominasz sobie, porwał ją brat twój z własnego domu i przywiózł do waszego zamku. Narzędziem tego gwałtu był Wszebór, i gdy ta pani nagłym porwaniem przestraszona, zawczasie na świat wydała syna, on widząc go niepodobnym do życia i matkę konającą, przyniósł martwego prawie do mnie, i te wyrzekł słowa, które do zgonu nie wyjdą z mej pamięci: — »Wiedz kochana Bożeno, iż syn Krempy Zbigniew jest moim synem; zrodzonego z kochanki miałem sposo-

bność podłożyć na miejsce narodzonego dziecięcia mojego pana, które to dziecko oddaliłem na zawsze z tych okolic; w Zbigniewie tedy cała nasza powinna być złożona nadzieja. Wezmę cię za żonę, lecz uczyni mi jeszcze jedną przysługę: chcę mieć Zbigniewa jedynym dziedzicem majątku mniemanego ojca, abym po jego śmierci mógł być z własnym synem posiadaczem tych obszernych włości i dostatków. Sama mówiłaś, że właśnie w tych chwilach żona Krempy bliską jest rozwiązania, widzisz to słabe stworzenie które przynoszę, żyć ono długo nie będzie, oddaj w moje ręce nowo narodzone, a to połóż na jego miejsce. Bożeno! szczęście nasze od tego czynu zależy, razem ze Zbigniewem wszyscy będziemy szczęśliwi; ten słaby płód zginie, a kochany mój syn będzie jedynym dzierżycielem bogactw mniemanego ojca.«—Na zasadzie ślepej miłości, wymógł odemnie

zezwoleń; groził oddaleniem na zawsze; kochałam go, nie zraził mnie nawet owoc jego miłości z inną. Podczas powszechnego zamieszania w zamku, wydała żona twoja na świat piękną córkę, sama ją odbierałam i w tejże chwili oddaną została w ręce Wszebora. Bardzo przykry i niebezpieczny był połów twojej żony: w nieprzytomności umysłu nie wiedziała jakim owocem miała się uszczęśliwić; drżącą ręką włożyła na szyję swej córki ten oto medalion, który miał być godłem przyszłego szczęścia Bronisławy; w pośpiechu zdjęć go zapomniałam, co dopiero po odesłaniu dziecięcia ze zmarłą Dobromirą do ich własnego domu, zapóźno postrześliśmy. Nikt nie pomyślał o zdradzie; nadspodziewanie przychodziło przybrane dziecko do sił, Piotr maleńki, karmiony przez twą żonę, wkrótce do przyzwoitego przyszedł zdrowia. Gryzło to Wszebora, którego nadzieje skutku nie

wzięły; lecz już nie miał wówczas pory odebrania życia nieszczęśliwej istocie. Wykonana zbrodnia wprawiła mnie w ciągły smutek; wyrzucalam Wszeborowi przyczynę mego udręczenia; rok nie minął, a już umyśliłam odkryć prawdę, i sama oddać się pod należną karę. Przewidywał to Wszebór: pod pogrózką pozabawienia życia przymusił mnie do potajemnej ucieczki, sam towarzyszył mi kilka mil i zemstę swoją obiecywał, gdybym kiedy zbliżyć się chciała do okolic Wiślicy. Drżałam chcąc wyjawić przed kim tajemnicę, byłam współniczką, lękałam się zawsze kary, a dostawszy się do domu tych dobrych ludzi, oplakiwałam ciężko w skrytości serca swojego popełniony występki. Los sprowadził tu Zelisława i jego mniemaną córkę. Widząc ich przed sobą, każde spojrzenie na to biedne dziecię przeszywało moje serce; ulżyłam teraz memu sumieniu, każ mi porwać

panie!... i ukarż przyzwoicie za zbrodnię!...«

Tu umilkła. Starosta patrzy na Zelistawę, poznaje go, pogląda na Bronisławę, własne swoje rysy widzi na twarzy dziewczicy; ta pada w jego objęcia, natura sama woła na niego, że ściska swoją córkę. Czuły Wojciec oblał ją łzami radości; zapala się gniewem, słysząc o jej porwaniu przez Zbigniewa, i o wyrzuceniu Zelistawa z domu własnego; nie wiedział on o niczem; Wszebór doniósł mu fałszywie, iż sam starzec ze swoją córką i synem opuścił i spalił swoją dziedzinę. Zdradzieckie nakoniec wystawienie Piotra na widoczne niebezpieczeństwo zgonu w krwawej walce, przekonało go aż nadto, jaka w tym zbrodniarzu krew płynie. Zdarzenia krzywdę Kazimierza i Bronisławy przejęły duszę jego, stokroć ściska Zelistawa za wychowanie córki i cieszy się że mu w zamian własnego odda syna.—



»Przyjaciele moi,—rzekł po chwili,—od niejakiego czasu nie miałem ja już Zbigniewa za syna. Gdy mnie doszła wieść o zbytkach, którym się oddawał w Kijowie, i podłych usługach czynionych królowi, napominałem go listem, aby powrócił na drogę, jaką prawy rycerz iść powinien. Wkrótce odebrałem odpowiedź: niewdzięczny! szyderskimi wyrazy natrzęsa się z starości mojej, oświadcza, że już wiek jego nie podlega ojcu, a zatem ostróg jego nie potrzebuje. Pismo to wyrwało mi serce; za tyle okazanych, na nieszczęście! dowodów miłości mojej, wzgardę otrzymuję!... Nie wiem czy kiedy mógłbym spojrzeć na wyrodnego syna, lecz dzięki Bogu! nie splami zbrodniarz nieskażonego domu Jastrzębców.«

Niespodziewana wiadomość zdumiła Zelisława; kochał on całym sercem mniemaną córkę... nie zazdrościł jej szczęścia odziedziczenia ogromnego majątku, gdy

Piotra, nad którym już miecz wzniesiony trzymał, nazwiskiem syna miał mianować. Przebaczono Bożenie, postanowił tylko Starosta ukarać przyzwoicie Wszehora, przyczynę tylu nieszczęść; chciał wziąć zaraz córkę do zamku Sandomierskiego, lecz trudno było wyrwać ją z łona zebranych przyjaciół; przyrzekł nakoniec wystawić nowy dom dla Zelisława w miejscu, gdzie małżonki jego spoczywały zwłoki, i powrócił do Sandomierza, aby wezwać Piotra do powrotu, zostawiwszy cały dom Nałęcza oddany radości i szczęściu.

#### IV.

Zostając w obozach Kijowskich Piotr, ze smutkiem patrzył na zniewieściałość Króla i ohydne postęпки brata. Pomnożyły się zbytki, przykład Monarchy uczynił je powszechnemi prawie w obozującym rycerstwie; zabawy z gronem Kijowianek zajęły ćwiczenia wojownicze, a co dawniej szcęk oręża brzmiał po namiotach rycerskich, teraz cisza powszechna panuje wśród uspionych na łonach Rusinek zwycięzców. Dla Piotra, któremu obcemi nie były najświętsze uczucia honoru i sła-

wy, srogiem było udręczeniem to poniżenie współbraci; pomnażało je oddalenie Bronisławy i jedyne go przyjaciela Bogdana, lecz stałość duszy i gruntowna cnota, wsparciem były w tak przykrych okolicznościach. Nie bywał u dworu, w ustroju swoim oddawał się dumanom samotnym. Podszepnął Zbigniew Królowi, iż piękność, którą sprowadził z Polski dla jego rozkoszy, przez Piotra zapewne porwaną była; Bolesław, w którym już wygasły wszystkie dawniejsze przymioty, będące ozdobą Monarchy i obywatela, powziął nienawiść ku temu zacnemu młodzieńcowi: byłby go ukarał surowo, gdyby najmniejszy pozór obwiniął go o znieważenie własności Królewskiej. Przeglądano jego mieszkanie, śledzono kroki, lecz Bronisława już była naówczas na łonie swojego ojca. Upłynęło tak jeszcze przeszło dwa miesiące, gdy Zbigniew odebrał list od ojca, zalecający po-

prawę. Za radą Wszebora odpisał w pełnym pogardy sposobie; zaufany w Królu i jego opiece, mało dbał o gniew lub dobroć ojcowską. Tak to rozwijały się zwolna niecne postęпки źle wychowanego Zbigniewa.

Otworzył nareszcie oczy zniewieściału Monarcha. Przy boku jego za ledwie pozostała dziesiąta część rycerstwa, które więcej znajdowało stłdyczy pomiędzy obcemi, jak na łonie własnych żon i pośród dzieci zostawionych. Poznał Bolesław widoczne niebezpieczeństwo i w cieniach nocy umknął z Kijowa z garstką towarzyszów swojej rozpusty. Piotr przymuszony był dzielić ucieczkę i być świadkiem gwałtów, których się po drodze rozbukane dopuszczało rycerstwo. Nie poznał Króla swojego Kraków: oddalił się waleczny i łaskawy, powrócił zniewieściału i okrutny. Puścił w własnym kraju cugle wszystkim namiętnościom, karząc

najsurowiej cudzołóstwo, któremu sam pierwszy się oddawał. Napróžno cnotliwy kapłan, biskup Stanisław Szczepanowski, duchowną powagą napominał Monarchę; szydził Bolesław z nauki jego, a gdy czuwający nad moralnością narodu pasterz, w imieniu Boga wyklął Bolesława i zabronił mu wstępu do świątyni Pańskich, rozjątrzony Król z kilku swojemi ulubieńcami, między którymi był Zbigniew, udaje się do kościoła Ś. Wojciecha na Skalce pod Krakowem, gdzie Biskup ofiarę Pańską miał odprawiać; wpada do świątyni i własną swoją ręką zabija cnotliwego kapłana przy ołtarzu. Zbigniew pierwszy po Królu wymierza szablę na upadającego pasterza, i pierwszy staje się uczestnikiem tego straszego morderstwa!...

Działo się to właśnie w tym czasie, w którym Krempa, Sandomierski Starosta, znalazł szczęśliwym przypadkiem

córkę i przekonał się, że hańba rodu ludzkiego, Zbigniew, nie był krwi jego potomkiem. Piotr po tej strasznej zbrodni wysłał natychmiast posłańca do Starosty, zawiadamiając go o tem zdarzeniu. Powrócił on właśnie z Samborca, chcąc przywołać mniemanego syna wraz z Zbigniewem i Wszebora do Sandomierza; odbiera pismo, drży czytając okropną wieść... pisze spiesznie do Piotra, aby bez zwłoki przybywał, i donosi mu, że Zbigniew nie jest jego synem. Nie chce oglądać więcej zbrodniarza, co wyzuty z religii, na poświęconą głowę świętokradzkie śmiało podnieść ręce; zaleca tylko, aby Piotr opuścił natychmiast dwór bezbożnego króla, a osobno do Zbigniewa rozkazał napisać wiadomość o jego urodzeniu i zakaz stawania kiedykolwiek przed sobą. Odesławszy to pismo do Krakowa, pospieszył do domu Nałęczu. Na pierwszym wstępie ze łzami w oczach

i z wyraźną zgryzotą na czole, opowiedział bezprzykładne zabójstwo Biskupa. Piotr czule opisał morderstwo, ronili łzy wszyscy na wyrazy jego listu. Tu dopiero poznał całą moc obłudy Zbigniewa strapiiony Starosta: dziwiło go tak długie taje-  
nienie przewrotnych nałogów, okrytych pozorem pobożności; wyrzucał sobie nieuwagę, pozwalając temu przestępcy w imieniu swoim uciskać niewinnych. O jakże wtenczas Piotr wydawał się cnotliwym, jakże wtenczas wszystkie jego czyny odbijały się przy zbrodniach Zbigniewa!

Uplęnęło kilka dni rozkosznych, nie oddalał się Starosta z domu Nałęcz; przymiotami córki, które rozwijały się z każdą chwilą, nasycić nie mógł rodzicielskiego serca; wyrwany z wspaniałości zamkowej, kosztował w prostocie prawdziwego szczęścia, które najczęściej w niej przemieszkiwa. Zajęty był je-



dnego razu myślami, jakby córkę i wszystkich tych ludzi poczeiwych nakłonić do przyjęcia wiary świętej, gdy mu doniesiono, że Piotr przybył do Sandomierza. Wyrwał się natychmiast z rąk Bronisławy, przybył do miasta, uściskał swojego wychowawcę, stokrotnemi okrzykami wyrzutami Zbigniewa świętokradzcy, i z wolna przygotowywać zaczął młodzieńca do wiadomości o jego urodzeniu. Patrząc na uprzejmość Piotra, żałował w duszy, że nie ma pociechy nosić miłego nazwiska jego ojca. Nie posiadał się syn mniemany z radości, zostając w obliczu kochanego rodzica i w bliskości Bronisławy; korzysta z jego dobroci, upadł mu do nóg, nie wiedząc że za własnym ojcem przemawia; opowiada, jakich gwałtów Zbigniewa doznała jedna z najenośliwszych rodzin, i błaga Starostę, aby tejże familii nie odmówił swojego wsparcia.

—»Wiem, co chcesz powiedzieć,—rzecze na to Krempa; — nie uszła ta zacna familia mojej baczności. Pójdź synu, odwiedzisz poceziwych ludzi i uszczęśliwisz ich może.«

Na koniach spiesznie udali się ku Samborcowi. Dziwił się Piotr, czemu nie mieszka Zelisław w swojej własności w Sobódce? Opowiedział mu dopiero Starosta, jak Zbigniew i Wszebór obeszlą się niegodziwie z niewinnymi, i jak złupiwszy ich dobytki, spalili jedyne na starość schronienie. Wrzała krew w Piotrze na tę wiadomość. — »Więc żadnego nie ma rodzaju występku, którymby Zbigniew nie splamił rąk swoich!«

—»Tak jest, mój Piotrze kochany!... jakże różny jest od ciebie ten, który tak długo hańbił moje nazwisko niecnymi postępkami! lecz ujrzysz, Bóg nie przepuści zbrodniom. Zbigniew stanie się strasznym przykładem dla niegodziwych!« W tej

rozmowie zbliżyli się ku domowi Nałęczu. Zsiadł z konia Starosta i ten, co nosił jeszcze nazwisko jego syna. W zaroślach pobliskich wziął Krempa za rękę młodzieńca.—»Dosyć już tego! — rzekł ze łzami,—Piotrze!... ostatni raz dajesz mi imię ojca!... uściskaj twojego opiekuna, tego, który cię wychował od młodości, a pospiesz na łono prawdziwego ojca, oczekującego cię z roztwartemi rękami!«

Stanął Piotr zadziwiony na te słowa.—»Co mówisz ojeze?... ach! do śmierci tem nazwiskiem mianować cię będę!... co mówisz?... co znaczą te okropne słowa?«

—»Nie są to okropne słowa—odpowie znowu Starosta,—imię ojca twojego jest najmilsze dla mnie, prawość i enotliwe postęпки uczyniły cię miłym mojemu sercu. Lecz mój Piotrze! wiedz o tem, iż dawcą twojego życia jest ów Zelisław, u którego poznałeś i uwielbiałeś pełną wdzięków Bronisławę, jedyną moją córkę.«

Tu dopiero usłyszał Piotr zdumiony z całą dokładnością dziwne zdarzenia, podstępów Wszebora owoce; po kilkakroć powtórzył te niewątpliwe prawdy Krempa.—»Ach, drugi mój ojciec i dobroczyńco! pójdźmy niech widzę mojego rodzica, niechaj wyleję tę miłość, którą sama natura wlała w moje serce, pójdźmy!...« Spiesznie zbliżyli się do domu Nałęcza; wchodzą do mieszkania, już Piotr leży u nóg Zelislawa!...

Podnosi go starzec, przyciska do łona.—»O Boże! sądziłem go przestępcą, miecz zemsty wisiał już nad jego głową, ty sam, Boże! wstrzymałeś moją rękę! ty nie dałeś mi być synobójcą!...«

Postrzegł Piotr kochankę, wyrывa się z objęcia ojca. — »O Bronislawo! byłem synem możnego obywatela, uwielbiałem ciebie; a dziś czy pogardzisz ubogim Zelislawa synem?«

Zarumieniła się dziewica, nie wie co odpowiedzieć, uwolnił ją z pomieszczenia Starosta.—»Piotrze! — rzekł, miałem cię za syna lat 18; przewrotny Zbigniew trzymał nad tobą pierwszeństwo jako brat starszy, lecz nie myśl, abym ciebie mniej kochał; nie dzieliłem nigdy miłości ojcowskiej między dzieci, kochałem ciebie, kochałem Zbigniewa, gdy tak chytrze umiał układać skromność i chrześcijańską sposobność. Dziś, gdy mnie los obudwu was pozbawił, cnoty twoje nie dają mi rozdzielić się z tobą. Nie mam potomka, niech nazwisko moje, które lat 18 ci służyło, będzie wiecznie twojem nazwiskiem. Kochałeś Bronisławę, gdyś był w wyższym nad nią stanie, kochaj ją i teraz, gdy ona twoje zastępuje miejsce. Szanowny twój ojciec, niesłusznie po dwakroć od rodziny naszej uciskany, wart jest, aby starość jego osłodzić połączeniem naszych domów. Czynię cię

jedynym dziedzicem mojego majątku i synem na zawsze oglądać pragnę. Czy nie sprzeciwia się temu wola twoja, Zelisławie?... Córko moja!... czy kochasz Piotra?...» Bez odpowiedzi rzucił się w objęcia Bronisławy młodzieniec; zarumieniona, jednym spojrzeniem dostatecznie odpowiedziała ojcu; a Zelisław, rozplywając się nad tym rozczulającym widokiem, przystępuje do Starosty. Przyjaciele rozdzieleni oddawna domowemi niesnaski, patrząc na dwoje dzieci, które łzami wdzięczności oblewały ich ręce, nie mogli wstrzymać się od płaczu... Uściskali się, a szczęście, co dotąd odmawiało swej obecności domowi pogańskiemu, w całym swoim świetle zabłysło w tej chwili. Cieszył się Kazimierz z doli siostry mniemaney, z którą wiek swój młodocianny przepędził, brata kochanego Piotra przyjmuje do serca; przypomina się Piotrowi Zbigniew broczący ręce w krwi Kazimie-

rza, wszystkie wspomnienia przeszłości stawają w jego umyśle, nie wierzy jeszcze szczęściu, które go czeka. Lecz jakże czule powitanie z Bogdanem! prawdziwie wylanem sercem przyjął ten młodzian przyjaciela, nasycić się nie może jego widokiem, chociaż każde spojrzenie na Bronisławę przeraża strapioną duszę; kryje pomieszanie, zmyślona wesołość przebija się na twarzy. Nie poznaje Piotr źródła jego udręczeń, życiaby poświęcił dla Bogdana; nie wie dobry młodzian, jaką ten czyni dla niego ofiarę!

Uczta domowa zakończyła ów dzień przyjemny, w którym najlepsi ludzie zebrani na łono jednej rodziny, rozpoczęli zawód szczęścia, długo im obiecującego towarzyszyć. Puhary starego miodu wypogodziły wszystkie twarze; zapomniano o przeszłych nieszczęściach, radość obecna zajmowała wszystkich. Wspomnił Starosta o religii chrześcijańskiej w łago-

dnych słowach, nikt na nie nie odpowiada... Zwrócił więc mowę do czego innego, mając jednak stałe przedsięwzięcie nakłonienia na zbawienną stronę tych, których poczciwość godną była wiary Chrystusa.

Nadszedł wieczór; w okręgu otoczonym z trzech stron niebotycznymi dębami, zasiedli zebrani krewni i przyjaciele; szum niedalekiej puszczy ponure sprawiał wrażenie. Powstał Starosta. — »Moi przyjaciele! — rzekł do Zehisława i Natęcza, — objawić wam muszę me chęci. Bronisława jest córką moją, winna tę wyznawać wiarę, którą ja wyznaję; lecz możeż ona odstąpić wpojonych od młodości prawideł bez waszego przykładu?... Dla czegoż nie macie być Chrześcijanami? cóż was odstręcza od tego Boskiego wyznania, które uszczęśliwia ludzi? przywiązanie do przeszłości mocniejsze być nie powinno nad przywiązanie do prawdy!... Przez



cienie tego świętego Biskupa, co w tych czasach dał dowód cnoty chrześcijańskiej i poświęcenia się zemście dla prawdy, zaklinam was, nie chcecie, aby była różnica wiara w tych, których przyjaźń i pokrewieństwo wiąże!...»

Jeszcze nikt nie odpowiedział na te słowa, gdy nagle światłość uderzyła oczy wszystkich: Bóg wlewa w serca pobożne poszanowanie!... W ciemnościach nocy, wśród puszczy odludnej, wznosi się w górę postać męczennika Biskupa: światło niebieskie otacza wspaniałą postawę, równa w światłości słońcu okrywa głowę infułą, krzyż w jednej, wieniec męczeński w drugiej trzyma ręce... Uderzeni tym zachwycającym widokiem patrzący, padają na twarze; powiększa się światłość, sterczą zdala oświecone góry i drzewa niebotyczne, uniosła się święta postać w obłoki!... — Długo nikt nie powstaje z miejsca, wonie najprzyjemniej-

sze napelniają powietrze; widzą wszyscy ze skruchą cud niepojęty, cześć w sercach oddają Bogu chrześcijan!... Powstali... nie odkładano przedsięwzięcia!... po strawionej nocy na modłach gorących, udają się do Sandomierza. Przy tysiącach zebranych mieszkańców w starożytniej bazylice Śg<sup>o</sup> Jakóba, co po dzień wznosi zczerniałe ruiny i nieuległe siedmiu wiekom, przystępują do chrztu świętego. Przerażający dźwięk dzwonów unosił ich dusze do Boga: oblał kapłan głowy Zelisława i jego syna, Nałęcz a i jego rodziny, co poprzedzała Bronisława przez płaczącego z radości Starostę prowadzona do ołtarza. Wyszli wszyscy z Świątyni Pańskiej, nową pociechą i nowem napojem życia.

Zdarzenie to pomnożyło przychylność ku Staroście w mieszkańcach Sandomierza. Wszyscy uważali go oddawna za dobrego człowieka, zbrodnie Zbigniewa

oczerniały go wprawdzie w oczach ludu, lecz odkryta tajemnica urodzenia jego, na niego tylko rzuciła wszystkie przestępstwa, których był twórcą.

W zamku Sandomierskim nawrócone rodziny pozostały, pókad nowe zamieszkanie w Sobódce nie zostało ukończone. Na pamiątkę dnia, w którym z tylu ludzi cnotliwych religia chrześcijańska tryumf odniosła, uroczyście Starosta przeznaczył dla Piotra Bronisławę. Kazimierz z Wandą kochali się, nie wiedząc nawet o tem; oddalenie nie zmieniło ich miłości, spokojne charaktery zgadzały się z sobą, prosili więc Nałęczą o pozwolenie połączenia się na zawsze. Z ochotą potwierdził te ich chęci starzec, a Bogdan nowe widząc spojenie się jego rodziny z rodziną kochanego Piotra, tem więcej ukrywał tajemny ogień, który go dręczył. Wyraźnie widziano słabiejące jego zdrowie; zawsze smutny, nie dzielił z nikim

swych cierpień; Piotr pocieszał przyjaciela, nadaremnie szukał przyczyny, która zgryzotą napemniała serce Bogdana, niczego dociec nie mógł, ubolewał tylko nad jego losem.

Tymczasem ukończono dom w Sobódce na mieszkanie rodzin Zelisława i Nałęcza przeznaczony; obiedwie familie za kilka dni przenieść się miały i odprawić dwoje zaślubin uszczęśliwiających potomstwo. Nadeszły te chwile pożądane: piękną budowę zamieszkali wszyscy przyjaciele; ogród piękny założony był za domem i przytykał do miejsca, gdzie się znajdował grób żony Zelisława, cnotliwej Dobromiry. Znaczny majątek, odebrane Zbigniewowi włości i bogactwa, które mu był Starosta udzielił, uwolniły od pracy tych szlachejnych mieszkańców; przecież przyzwyczajeni do zatrudnień, uprawianiem ogrodu zatrudniać się mieli, gdy starzy ojcowie i matka Bogdana, odpoczywając

po trudach młodości, używać będą owoców, któremi ich Bóg w nagrodę przeszłych cierpień obdarzył.

Bez okazałości i zbytków, w kilka dni po przeniesienia się do nowego domu, odprawiły się wesela połączonych kochanków. Wieśniacy z okolic pobliskich byli uczestnikami powszechnej radości; na pamiątkę dnia tego, który uszczęśliwił Piotra, uposażył Starosta dziesięć ubogich dziewcząt wiejskich, a dom Nałęcza wraz z przyległemi gruntami ubogiej jednej rodzinie został darowany. Bogdan w dniu tym okropnym, w którym na zawsze pozbawiony zostawał droższej nad życie osoby, silił się szczególnie na okazanie spokojności i wesołości; cieszył się szczęściem przyjaciela, bolał nad swoim przeznaczeniem, a gdy wszyscy zupełnej kosztowali radości; on śmiało zwyciężając nieszczęśliwą namiętność, sroższego nad jawne wewnętrzznego doznawał cierpienia.

Zdawało się, że już nie nie brakuje do zupełnego szczęścia dwom kochającym się rodzinom, zdawało się, że spokojność na zawsze panować będzie pośród tych ludzi cnotliwych; lecz taka jest dola człowieka, że z największego szczęścia spoglądać powinien na bliski i nieochybny smutek, i że używane rozkosze drogo opłaci, gdyż nieustanną koleją po szczęściu nieszczęście, po radości smutek następuje. Zaledwie kilka dni upłynęło, jak Kazimierz z ulubioną Wandą, a Piotr z cnotliwą Bronisławą, kosztowali tych rozkoszy, których dusze czyste w małżeńskim pożyciu doznają, gdy nowa chmura zbliżyła się, aby zaćmić na zawsze szczęście niewinnych kochanków. Nieznajomy człowiek przynosi pismo do Piotra: czyta młody małżonek i z umiarkowaniem przyjmuje ohydne wyrazy, które list ten obejmował. Było to pismo Zbigniewa: wyrzucał mu wydarcie należnej części ma-

jątku, do którego obadwa wychowawcy jedno mają prawo, i groził, iż jeżeli nie otrzyma większej części dóbr i majątku Starosty, potrafi śmiercią przymusić do tego swoich nieprzyjaciół. Nie lękał się wprawdzie Piotr zemsty Zbigniewa, nie oddalał się z domu, w którym był bezpiecznym przeciw wszelkim napaściom, lecz uczuł litość nad zbrodniarzem: zapomniał o tym, który nastawał na jego życie, widział tylko w Zbigniewie człowieka, który błędząc długo, na prawą zamysła zwrócić drogę. Odpisał mu najuprzyjniej, iż bez wiedzy nawet Starosty odstępuje mu kilka wsi dalekich od Sandomierza, i jeżeli ujrzy go nadal dobrym obywatelem, nie tylko zapomni o przeszłości, ale nadto da mu część majątku, tak jakby bratu rodzonemu. Czując w sumieniu swoim, iż przebaczenie zbliża człowieka do Boga, odesłał list ten

do Krakowa przez posłańca, który przyniósł pismo Zbigniewa.

Bolesław ciągle mieszkał w Krakowie po zabójstwie, którem splamił berło Polskie. Znienawidzony od ludzi, zbrodniarz w obliczu Boga, zaczął czuć zgryzotę wewnętrzną. Pomnożyła ją klątwa, którą okrył Króla Benedykt, naówczas stolicy Apostolskiej Władzca; nie spodziewając się spokojności na zhańbionym tronie, i mając przed oczyma krew niewinnie przelaną, porzucił w nocy Kraków, i sam jeden zniknął z polskiej krainy. Po tej ucieczce Króla, spełzły wszystkie Zbigniewa nadzieje: ze szczytu łaski Monarszej spadł w hańbę i pogardę u ludzi; bez mienia, bez zacności, ostatniego spróbować pragnął sposobu, to jest wydarcia Piotrowi majątku. Ojciec jego Wszebor pobudził go do tego przedsięwzięcia: uwiadomił on syna o urodzeniu jego i o sposobie jakim chciał go uszczęśliwić, a brnąc



coraz dalej w morze zbrodni ojciec niegodziwy, sam otwierał synowi pole hańby i nieszczęścia. Doszła wiadomość Zbigniewa, iż Krempa, przybrawszy Piotra za syna, uczynił go jedynym dziedzicem swojego majątku; napisał natychmiast list pełen obelgi i wyrzutów do tego młodzieńca, domagając się odstąpienia części majątku Starosty. Wkrótce uprzejmy odebrał odpis: rozgniewał go warunek poprawienia się i powrotu na drogę cnoty, poprzysiągł przed obliczem ojca siłą dokazać tego, czego dokazać nie mógł dobrowolnie, gdyby nawet przyszło pozbawić życia Starostę i całą Piotra rodzinę; a chytry ojciec, głaszcząc namiętność podobnego sobie syna, sam nawet ofiarował się dążyć wspólnie do jednego celu. W kilka dni przebrani w proste suknie, jakich używali mieszkańcy okolic Sandomierza, udali się tam spiesźnie. Po długiej podróży, po trudach i zbytkach, nie-

poznani, dokładniejszą o zaślubieniu Piotra i o jego zamieszkaniu powzięli wiadomość. Na wspomnienie Bronisławy pomnożył się zapal Zbigniewa: postanowił pozbawić życia nienawistnego człowieka, a sam objąwszy jego włości, przymusić jego żonę do dzielenia swojego łoża. Spiesznie zatem wraz z ojcem udali się ku Sobódce; nieznani, łatwo dowiedzieli się o sposobie życia nowego pana, o jego przechadzkach i zabawach, i niewątpliwy ułożyli sposób dopięcia niecnego zamiaru.

Piotr urządził najprzyjemniej swoje nowe siedlisko: obszerny ogród rozciągał się aż do wzgórza, na którem stała skromna mogiła jego matki; tam to krętymi ścieżkami chodził codziennie z ukochaną żoną, i przypominał pierwsze chwile niewinnej swojej miłości. Blisko tego rozkosznego miejsca wystawione były dwa domki, gdzie mieszkali domownicy i starzy wieśniacy wysłużeni u Zelisława.

Za każdą przechadzką odwiedzało ich młode małżeństwo, a obcując z niższymi, zbliżali się do tego szanownego stanu szczerości i prostoty, który uwielbiał ich serca.

Dowiedzieli się o tej codziennej przechadzce czechający na zgubę niewinności zbrodniarze. Tego samego dnia, którego przybyli, udają się niedaleko od miejsca znanego już Zbigniewowi, to jest mogiły Dobromiry, Piotra matki. Opatrzni w wiszące pod suknią szable i z świeżego dębu uciosane pałki, na których końcu duży sęk, za jednym uderzeniem niechybną śmierć gotował. Nie przeszli przez ogrodzenie, lecz w zaroślach otaczających je ukryli się, czekając sposobnej pory. Był to środek lata, zboże na niwach zbierać zaczęło, i drzewa drobny owoc okrywał; po dniu pogodnym, arcy-przyjemny wieczór nastąpił, i lubo księżyc nie świecił, słabe jednak

gwiazd światło przebijało się przez gałęzie dębów sto-letnich. Wtenczas to przeszli Zbigniew i Wszebór przez niskie ogrodzenie; prosto udali się ostrożnie ku miejscu, gdzie spodziewali się ofiar swojej zemsty, lecz nikogo jeszcze nie było. Nie zraziła ich ta niepomyślność, rozdzielili się z dwóch przeciwnych stron pagórka, i stanęli nieznacznie; ten miał ugodzić i pod razami pozbawić życia Piotra, ktoby pierwszy spostrzegł przechodzącego.

W tym właśnie czasie wychodzili Piotr i Kazimierz z żonami na przyjemną przechadzkę. Urodziło się dziecię jednemu z domowników mieszkających w domku blisko wzgórza wystawionym, zaprosił on na wieczór swoich panów, chcąc oddać pod ich opiekę nowo-narodzone niemowlę. Nie odmawiał nigdy Piotr żądaniom swoich poddanych; z bratem Kazimierzem i jego żoną idzie odwiedzić tych ludzi;

postrzegł to Zbigniew, raduje się wczesnie, że się zbliża chwila, w której miał sobie otworzyć drogę do posiadania majątku Piotra. Po ucieczce Króla z Polski nie było w kraju ładu i porządku; była to stosowna pora nabycia majątku, chociażby nawet przyszło życia pozbawić Starosty. Tymczasem weszli goście nasi do porządnej izby; pokazał uradowany ojciec panu swojemu narodzonego synaczka, wziął go Piotr na ręce, spojrzął czule na Bronisławę i oddał rozrzewnionemu ojcu dziecię kochane. Bronisława zbliżyła się do położnicy, usiadła przy jej łożu i dla nowo-narodzonego dziecięcia własną ręką uszytą sukienkę ofiarowała; nie posiadała się szczęśliwa wieśniaczka z radości; ujęta łaskawością pani, odpowiada na jej pytania i najszczerze dzięki czyni uprzejmej dobrodziejce. W tym czasie wychodzi Piotr do pobliskiego domku, który z drugiej strony wzgórza był położony;

staruszek jeden, dawny sługa Zelisława, w śmiertelnej leżał chorobie; chciał go więc odwiedzić, a wyszedłszy z izby gdzie zostawił brata i żonę, pospiesza mimo pagórka, na którym czekały na niego zabójcze narzędzia.

W kilka minut po odejściu krzyk okropny obił się o uszy Kazimierza i Bronisławy; raz jeszcze powtórzył się jęczący głos; wybiegli domownicy, słyhać przytłumione jęki, biegną za odgłosem, wpadają na pagórek; rzuca się jeszcze Piotr, którego po sukni tylko poznają, i gdy jedni gonią za uciekającym zabójcą, drudzy biorą na ręce ciało pana i wnoszą do izby, z której naprzeciw nich wybiega Bronisława drżąca z przerażenia. Wnie- siono krwią oblanego Piotra; światło kaganka ponurym ogniem błyskało, roztrza- skana w kawałki głowa, krew broczy zie- mię, ... stanęła... patrzy na ukochanego małżonka, żaden odgłos z piersi nie wy-

chodzi, żadna łza nie płynie po licach... krok jeden postępuje bliżej, i pada na zwłoki najukochańszego męża!.. Wtem słyhać głos, wpada Piotr zadyszany... —»Cóż się dzieje!... Co?... Bronisława zabita!...« Biorą spiesznie krwią mniemane go Piotra zbroszoną Bronisławę, zaledwie siła potrafi oderwać ją od trupa... odrywają tę czulą żonę, lecz już zapóźno... Bronisława była bez duszy!

Piotr nosił proste suknie, jakich zwykle używali mieszkańcy okolic Sandomierza, także same prawie były na zabitym, podobieństwo wzrostu] jednakowe, a rozwalona uderzeniem rohatyny głowa, rozprysła się na części. Bronisława widziała zabitego małżonka, Bronisława nie przeżyła jego zgonu! Piotr chciał sobie życie odebrać, gdy drżącemi usty donieśli mu domownicy, jak rozczulającą miłość małżeńską okazała, widząc zabitego męża, i że ostafni wyraz, który wyrwał się z ko-

nających piersi, był:—»Piotrze, pójdę za tobą!...« Bez pamięci, bez zmysłów rzuca się na zwłoki małżonki rozpaczający młodzian, wpatruje się w jej twarz anielską: zasnęła raczej nie umarła, blade usta nie straciły swych wdzięków, lekko zawarte oczy mają jeszcze stokrotne powaby, któremi uszczęśliwiała męża. Spieszny dawano ratunek tej nieszczęśliwej żonie; przybyli Starosta, Zelisław i wszyscy mieszkańcy tego domu, lecz wszystko to na próżno! Bronisława unosi się już nad głowami oplakujących jej stratę.

Wzmaga się zamieszanie. Kilku domowników prowadzi wyrywającego się im młodzieńca; wchodzi z nim do izby. Za ledwie rzucił okiem na Piotra:—»I ty żyjesz jeszcze wieczny nieprzyjacielu!... lecz przebóg!...« —zawoła postrzegając trupa,—»co widzę?... ojcie!... Wszeborze!... O sroga pomyłko!... dajcie żelazo, niech sobie natychmiast życie odbiorę!



dajcie toż samo narzędzie, które zboczyłem krwią ojca!...» Zastanowił się... spogląda obłąkanem okiem na zabitego...  
 »Tak, słuszna twoja zemsta o Boże!... słuszna!... nieostrożny... zamiast nieprzyjaciela, własnego ojca pozbawiłem życia!... Tak, przebrzydły ojczy!... masz owoc twojego wychowania... poznaję teraz moje zbrodnie!... Nauczyłeś mnie patrzeć na krew bez obrzydzenia, patrzę na krew twoją;... nauczyłeś mnie być mordercą, znalazłeś go we mnie!...» Tu rzucił się głową o ścianę, porwano go jednak, służący moene więzy włożyli na jego ręce.

Po najtkliwszem staraniu Bronisława nie przyszła do siebie. Przeszła noc, noc, jakiej od urodzenia Piotr nie przepędzał; nikt go nie cieszy, bo wszyscy czują stratę nieodżałowaną; pilnował go Bogdan, aby sobie życia nie odebrał. Łącząc łzy z łzami nieszczęśliwego Zelisława, często z rozpaczą powtarzał: — »Małżon-

ko, ty dla mnie umierasz, niech ja umrę dla ciebie!...» Piotr przecież nie był najnieszczęśliwszym: ogrom nieszczęścia nie dał mu w pierwszych chwilach poznać nieodżałowanej straty; na pewny cel zachowane były wszystkie gatunki męczarni, któremi żal i smutek dręczą śmiertelnych.

Zabity człowiek był to Wszebór, zabójcą jego był syn własny Zbigniew. Skoro tylko stary przestępca usłyszał chód Piotra idącego do chorego staruszka, chcąc uprzędzić syna i pierwszy nasycić się morderstwem, wybiegł ostrożnie na krętą drogę, co prowadziła do pagórka, i postępował zwolna. Gęste dęby odwieczne osłaniały ścieżkę, ciemność nieprzejrzana panowała pod rozłożystemi konary. Usłyszał chód jego Zbigniew, a pewny, iż tam znajduje swojego nieprzyjaciela, przedziera się przez krzaki, widzi postępującego człowieka, ten sam wzrost, taż sama postać; zaślepiony nieuhamo-

wanym zapałem, wybiega... podnosi rohatyny i za jednym zamachem gruchoce głowę ojca. Z piersi wściekłością palających wydarł się kilka razy głos okropny, a uciekający Zbigniew, schwytany w zakącie ogrodu od rozbiegłych domowników, ujrzał owoc swej zbrodni, ujrzał przyzwoitą nagrodę przestępstw niezliczonych.

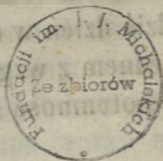
Badano go nazajutrz. Przerażony przykładem ojca, cały przejęty skruchą, ujrzał dopiero przed oczyma szereg swoich zbrodni; ze łzami w oczach opowiedział szkaradne zamiary, rzucił się do nóg Piotra, a wyrzekając na przewrotne swoje wychowanie, błagał o zapomnienie przeszłości i oddanie siebie pod sprawiedliwość karzącą. Wywieziono go zaraz do Sandomierza. Wkrótce po spowiedzi nabożnej i rzewliwej skruszce, miecz katowski przerwał dni źle wychowanego młodzieńca. Ojca jego pochowano w odle-

głych górach; puszczyk odzywa się straszliwie nad skałą, gdzie spoczywa ciało, z którego zbrodniarska dusza uleciała w otchłanie ciemności.

Piotra wszyscy pocieszyć chcieli; nie znał ojca, nie znał brata; nieukojonny po stracie małżonki, bez zmysłów błąkał się tylko wśród ciemnych zarośli. Wystawiono w największej sali ciało zmarłej; nie chcieli go do niej przypuścić przyjaciele, daremnie wdął się gdzie spoczywały jej zwłoki, klęknął spokojnie i ciągle wznosił modły do Boga; przystąpił potem do trumny, położył usta na bladej ręce Bronisławy i ducha swojego z jej złączył duchem. Rozpaczający Starosta, Zeliśław i Kazimierz, Bogdan i jego ojciec, pochowali zwłoki dwojga małżonków przy mogile Dobromiry, gdy czyste ich dusze przeniosły się na łono Boga. Krzyż wzniósł się nad smutnymi groby; trzy mogiły odwiecznym mchem

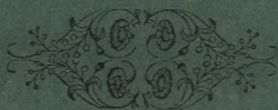
obrosłe i poziomym okryte jałowcem,  
kryją się podziś dzień w cieniu brzoź płaczących  
na jednym z wzgórzów Sobódki,  
które odległa potomność *żałami* nazywa.

KONIEC.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**  
**00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72**  
**Tel. 26-68-63**











<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA IBL

№.  
3546

46